



ROK LVIII

NR 14

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, 4 KWIETNIA 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: O misjach dworcowych—Zarembina. Do praw przez obowiązki—Wanda Krabolska. Gmina szkolna—K. S. Napoli Parthenope (c. d.)—Marja Grossek-Korycka. Wiersze—Juljan Wirski. Braterstwo ludów (c. d.)—Marja Jehanne-Wielopolska. Wędrowniki Dżerdżelesa, tłum. z serbsko-chorwackiego—M. Zn. Szczepańska. Polska krew—K. Bielońska. Jaszka Amazonka [XX wieku—C. W. Młode lata księcia Adama Czartoryskiego (dok.)—Aleksander Kraushar. Kobieta w świecie i w domu—Z. B. Wychowanie fizyczne i życie sportowe kobiet—I. Fabrycowa. Na marginesach życia—Andrea. Z książek—M. Dąbrowska. Z Teatrów—P. i H. C. Czemu ozdobić czepeczki. Co będziemy nosiły tej wiosny—Hrabina Annie. Moda na scenie—K. L. Nasze ogródki—W. Pranie koronek—J. S. Jeszcze o święconem—Pani Elżbieta. Korespondencje działu praktycznego. Przepisy gospodarskie—Pani Elżbieta. Komunikat Biura Prasowego dla spraw kobiecych. Dodatek powieściowy 1) „Biały Paw”—powieść Henry Bordeaux—autoryzowany przekład M. Domańskiej, 2) „Czar Kwietniowy” (przekład z angielskiego) — przez autorkę „Elżbiety i Jej Niemieckiego Ogrodu” (ciąg dalszy). Dodatek robót i ubiorów. ARKUSZ WZORÓW.

O MISJACH DWORCOWYCH

(Referat wygłoszony na zebraniu Międzystowarzyszeniowem w Hotelu Europejskim w dniu 13 marca 1925 r.)

Inicjatywa Misyj Dworcowych powstała w 1904 r. podczas międzynarodowej umowy w sprawie zwalczania handlu kobietami i dziećmi. Paragraf 2 tejże umowy poddaje specjalnej uwadze nadzór nad portami i dworcami kolejowymi.

Międzynarodowy Zjazd w Bernie Delegatek T-wa Ochrony Kobiet w 1910 polecił utworzenie specjalnej Komisji dla spraw kolejowych.

Uznano, że chociaż założeniem zasadniczym T-wa Ochrony Kobiet jest praca u podstaw wychowania młodego dziewczęcia, ugruntowanie w niej głębokich zasad etycznych, religijnych i patriotycznych, dostarczenie jej fachowego wykształcenia i opieki, zatem zakładanie burs, sal zajęć, kursów zawodowych, schronisk, hotelików i t. p. jednakże obowiązkiem również T-wa Ochrony Kobiet jest czuwanie nad młodymi kobietami w podróży i otoczenie zaintereso-

waniem, dającym możliwość ustrzeżenia od grożących im licznych niebezpieczeństw.

Zjazd w Bernie skonstatował, że potężny i zorganizowany planowo handel kobietami i dziećmi, wzmagająca się emigracja, jak również zwiększone zapotrzebowanie za oceanem doborowego europejskiego żywego towaru, nakazała wprost rozwinięcie energicznej akcji w kierunku opiekowania się młodymi kobietami na dworcach, w pociągach, w portach, na okrętach i t. d. Wskutek tego Zjazd wydał polecenie szybkiego organizowania Misyj Dworcowych.

W 1922 Kongres Wszechświatowy Delegatów T-wa Ochrony Kobiet we Fryburgu, wyrażając ubolewanie, że wskutek wojny osłabiła działalność Misyj Dworcowych, wydał również nakaz natychmiastowego przystąpienia do tworzenia Misyj Dworcowych we wszystkich dużych

miastach i na wszystkich węzłach kolejowych.

Sprawozdania za rok 1923 dają obraz bardzo rozwiniętej działalności Misyj Dworcowych zagranicą. W Londynie liczba dziewcząt, należących do różnych narodowości, którym udzielono pomocy na dworcach w ciągu 10 miesięcy, wynosi 1507. W główniejszych miastach w Brytanji oraz w portach Misje Dworcowe otaczają serdeczną opieką młode kobiety. W Kairze T-wa Ochrony Kobiet w ciągu 9 miesięcy umieściło w przytułkach 80 kobiet. We Francji, gdzie Misje Dworcowe T-wa Ochrony Kobiet powstały w 1905 roku, udzielono pomocy kobietom i dzieciom do wybuchu wojny w 73,200 wypadkach.

Równoległe z organizacją Misyj Dworcowych powstają we wszystkich krajach schroniska czasowe, przytułki noclegowe i hoteliki dla osób, którym udzielają opieki i po-

mocy delegatki Misyj Dworcowych. Bez odpowiednich schronisk Misje Dworcowe nie mają racji bytu.

Różnego rodzaju jest pomoc, której się udziela podróżnym: jedne osoby nie mają nikogo w mieście, nie mają pieniędzy na przyzwoity hotel, nie wiedzą, gdzie się obrócić. Ofiarują swoje usługi różni mężczyźni, a nawet i starsze kobiety i gdyby nie pomoc delegatek dziewczęta zostałyby zaprowadzone do nor i otchłani brudu moralnego, z którego często nie mogą się wydobyć. Inne osoby zgubiły rzeczy, legitymacje lub pieniądze; trzeba im dopomóc w taki lub inny sposób; inne przyjeżdżają za chlebem w poszukiwaniu posad. Należy im wytłumaczyć, że posad niema i kupić bilet powrotny do domu; inne mdleją z wygłodzenia, zmęczenia, nieszczęścia, osierocenia; należy je nakarmić, zaradzić niedoli.

W Polsce T-wo Ochrony Kobiet zrozumiało doniosłość zadania i podjęło we wszystkich zaborach inicjatywę organizowania Misyj Dworcowych.

We Lwowie oddział T-wo Ochrony Kobiet, prowadzący Misje Dworcowe, istnieje jako Sekcja Katolickiego Związku Kobiet. Założono Komitet dworcowy, składający się z pań, mieszkających na dworcach. Te panie rozdzieliły pomiędzy sobą dnię, w których delegatka Ochrony Kobiet zwraca się do nich po radę, pomoc i wskazówki. Dużej pomocy w dyżurowaniu udzielają panie z inteligencji lwowskiej.

W Krakowie Sekcja Dworcowa T-wo Ochrony Kobiet założona w 1912 roku jest również ściśle związana z Katolickim Związkiem Kobiet. Posiada obszerne schronisko, zorganizowała Komitet pomocniczy, złożony z Pań, żon urzędników kolejowych, które pomagają delegatkom Misyj Dworcowych. W 1913 r. udzielono opieki 754 osobom. Po dwóch latach przerwy wywołanej wojną wznowiono działalność w 1916 i udzielono pomocy 2.217 razy osobom chorym, samotnym dziewczętom i dzieciom, odprowadzając do szpitali i do schronisk; dopomagano matkom w odszukaniu dzieci, biednym i okradzionym w uzyskaniu

biletu wolnej jazdy i t. d. W 1917 udało się przyjść z pomocą 5,166 osobom. W następnych latach cyfry ukazują się mniej więcej jednakowe. Sekcja Misyj Dworcowych proszona była również o roztoczenie opieki nad młodzieżą szkolną, przybywającą z okolic Krakowa Szkoły zawodowe męskie i żeńskie, seminarja, dyrekcje gimnazjów wystosowały specjalne odezwy do Zarządu Misyj Dworcowych, zapewniając, że młodzież dostała specjalne upomnienie.

W Poznaniu działalność Misyj Dworcowych, zawiązanych w 1909, ślicznie się przedstawia. Delegatki z biało-żółtymi opaskami, otoczone są wielkiem uznaniem i sympatją, gdyż istotnie niesłychanie wiele dobrego robią. Sekcja posiada obszerne schronisko przy ul. Odeskowej 3, prowadzone wzorowo przez Siostry Albertynki; 9 pokoi przeznaczono na hotelik, kilkanaście pokoi na schronisko czasowe. Do 2,000 osób rocznie prze-wija się przez hotelik.

W Warszawie Misje Dworcowe założone były przez T-wo Ochrony Kobiet w r. 1901.

Funkcjonowały sprawnie, lecz okoliczności związane z wojną, a głównie brak funduszy zmusiły Zarząd do zaniechania tej działalności.

Obecnie po zorganizowaniu Komitetu Walki z Handlem Kobietami i Dziećmi, wskrzeszone zostały Misje Dworcowe przez tenże Komitet wspólnie z Tow. Ochrony Kobiet. Początkowo dyżurowała jedna delegatka na dworcu głównym, następnie dwie, a od stycznia r. b. posiadamy 3 delegatki które funkcjonują od 5 zrana do 1 w nocy.

W styczniu r. b. udzielono pomocy 190 kobietom, w lutym 292.



Delegatki z pełnem poświęceniem spieszą na usługi wszystkich młodych osób, które po przybyciu na dworzec nie umieją sobie dać rady; przede wszystkim czuwają, aby młode dziewczęta uniknęły zetknięcia z grasującymi handlarzami, którzy jak złowrogie sępy czyhają na żer gotowy; odprowadzają przyjezdne, nie znające miasta, udzielają pomocy w wypadkach choroby zgubięcia pieniędzy lub rzeczy; lokują w schroniskach Towarzystwa Ochrony Kobiet osoby nie mające rodziny ani znajomych.

Niezależnie od handlarzy czeka na dworcach młodzież w czapkach wyższych uczelni... zaczepia młode podróżne... gorzej... czekają chłopcy szkół średnich... dzieciaki.

Zadanie delegatek jest wielkie, ale bardzo mozolne, najeżone ciężkimi trudnościami. Obecnie cała działalność Misyj Dworcowych jest zatrzymana w rozwoju, zatrzymana wskutek braku miejsca na ulokowanie przyjezdnych wskutek nie dającego się opisać przepełnienia w schroniskach ciasnych T-wo Ochrony Kobiet.

Interwencja i pomoc całego społeczeństwa jest niezbędna. Należy dopominać się od rządu subsydjów pieniężnych na zorganizowanie Misyj Dworcowych na innych dworcach, należy się spodziewać ułatwienia ze strony władz kolejowych w znalezieniu jakichkolwiek ubikacyj na wszystkich dworcach na poczekalni dla delegatek i dla przyjezdnych, będących pod opieką delegatek; należałoby budzić zainteresowanie pań, żon urzędników kolejowych, mieszkających w pobliżu dworców, oraz pań dobrej woli z miasta, któreby przysły z bezinteresowną pomocą w dyżurowaniu.

Warszawa jest ofiarną, Warszawa słynna jest z porywów szlachetnych uczucia, jednak Warszawa mało zainteresowana jest sprawą tak doniosłą jak ochranianie młodych dziewcząt i całego młodego pokolenia od strasznych następstw szerzącej się w przerażający sposób gangreny moralnej. A przecież planowo zorganizowana na tem polu akcja w Warszawie powinna stać się przykładem dla całego państwa.

Zarembina.

DO PRAW PRZEZ OBOWIĄZKI

„Do praw przez obowiązki“ oto hasło kobiet fińskich w walce o prawal Drogą kształcenia kobiet, wyrabiania w nich poczucia obywatelskiego i zdolności do pracy równorzędnej pracy mężczyzn, dążyły pionierki ruchu emancypacyjnego w Finlandji. W ciągu niespełna sześćdziesięciu lat uzyskały one prawie wszystko, czego żądały; historję tych wysiłków, tak szczęśliwie zakończonych, w krótkim zarysie znajdziemy w broszurce Ilmy Hallsten pod tytułem „Stanowisko kobiety w Finlandji“.

Gdy w r. 1844 pierwsza autorka fińska Sara Wacklin podniosła w swych pismach kwestję upośledzenia kobiet w społeczeństwie, nie było jeszcze mowy o stawianiu jakichkolwiek żądań.

Dopiero w r. 1850 Fryderyka Runberg (żona znanego poety) w szeregu artykułów występuje z żądaniem, by społeczeństwo uznało prawo kobiety do nauki i pracy, oraz o uniezależnienie kobiet w małżeństwie.

W tym samym roku poeta Z. Popelins wygłosił przemówienie, którego tezą było — że dopóty duch niewoli panować będzie nad światem, dopóki kobieta wolności nie uzyska. Z wielką słusnością dowodzi on, że istota pozbawiona praw i podległa nie może wzbudzić w dzieciach ducha wolności, one zaś, widząc od urodzenia w otoczeniu swem przykład wiecznego ulegania słabszego wobec siły, na podstawie prawa silniejszego opierać będą swoje pojęcia.

Miało słusność prawo rzymskie, uznając za niewolnika dziecko niewolnicy, choćby nawet ojciec był człowiekiem wolnym. Topehus nie był odosobniony w swych twierdzeniach, J. V. Snellman solidaryzował się z nim i dążył do uświadomienia tych haseł w opinii społecznej drogą artykułów w „Dzienniku Literackim“.

Adelajda Ehrnrooth pomiędzy r. 1860 — 1870 występuje z artykułami, których postulatami są: — równouprawnienie, zniesienie podwójnej moralności(!), oraz wykształcenie dziewcząt, dające możliwość pracy we wszelkich dziedzinach.

Coraz częstsze głosy wołały o oświatę wśród kobiet wiejskich.

Głębokie wrażenie w społeczeństwie fińskim wywarły pisma Minny Canth z wielkim realizmem opisującej życie kobiet, one to obok utworów Ibsena, pobudzi-

ły szersze koła ludności do myśli o polepszeniu losu kobiet.

Pierwsza zmiana prawa na rzecz kobiet nastąpiła w roku 1863, gdy wyznaczony został rok pełnoletności kobiet na 25 lat, znosząc jednocześnie konieczność zezwolenia rodzicielskiego przy zamążpójściu. W tymże roku kobiety administrujące własnymi dobrami uzyskały prawo głosu do samorządu wiejskiego, rozciągnięte potem w r. 1872 na samorząd miejski.

W 1878 r. zostało zrównane rodzicielstwo w prawach dziedziczenia.

W dziedzinie nauki pierwsze szkoły koedukacyjne, założono przez związki kobiet w 1883 i 1886 w Helsingforsie, w 1901 r. zniesione zostały ograniczenia przy stawianiu kobiet do egzaminów, dających prawo wstępu na uniwersytet.

Pierwsza organizacja kobiet powstała w 1884 r. pod nazwą „Snommen Naisyhdistys“ — Związek kobiet fińskich, przewodniczącą jego była Elżbieta Löfgren. Celem organizacji było zdobycie praw, oraz szerzenie oświaty. Drogą usilnej pracy oświatowej i wyrabiania opinji społecznej, uzyskały wpływy w sejmie. Zostały przesłane do sejmu wnioski o emancypację kobiet, o prawa własności kobiet zamężnych, wstępowania na uniwersytet, prawa polityczne i wyborcze do samorządów, uregulowanie pełnoletności na lat 21 i szereg innych, a przede wszystkim o zniesienie reglamentacji prostytucji i t. d.

W r. 1888 na Ogólnym Kongresie kobiecym w Waszyngtonie, na którym została ustanowiona Rada międzynarodowa kobiet, Związek Kobiet fińskich był już reprezentowany przez baronową Alexandrę Gripenberg.

W r. 1892 powstało Zjednoczenie Kobiet „Unja“ (Naisiali Sto Union) na której czele stała przełożona szkoła Lucyna Hagman, „Unja“ podnosiła między innymi kwestję sytuacji prawnej dzieci nieślubnych.

W 1905 powstaje „Unja Biąła“, która się łączy z międzynarodową organizacją tej samej nazwy. Drogą odczytów, oświaty i agitacji pracowała nad podniesieniem moralności w narodzie, organizowała ochrony dla dzieci, przytułki dla kobiet, szkoły rzemiosł. Tej organizacji zawdzięcza Finlandja policję żeńską, którą posiada w niektórych miastach.

Fiński Związek Kobiety (Snomalainem Naisliitto) postawił sobie za zadanie wyrabianie w kobiecie uczuć obywatelskich, w szczególności wpływanie na to, by brały one aktywny udział w życiu samorządowym, gdzie znaleźć mogą duże pole do działania w opiece społecznej.

Silne poparcie znajdują sprawy kobiece w piśmie „Głos Kobiety“ (Naisenaani) redagowanym przez p. Mikki Friberg, prezeskę „Unji“.

Po kilku nieudanych próbach wniesienia na porządek dzienny sejmu wniosku o prawa wyborcze czynne i bierne, organizacje kobiet zwołały wiec w r. 1904, który żądał uregulowania tych kwestyj, wzmożona działalność pobudziła całe społeczeństwo do poparcia żądań, stawianych przez feministki w artykułach na wiecach i w petycjach. W r. 1906 Sejm przyjął ordynację wyborczą, w której już nie istniały ograniczenia ze względu na płeć.

Już w 1907 r. Sejm fiński liczył 19 kobiet — posłów, wśród nich była jedna inspektorka pracy.

Wszelkie gałęzie nauki są już kobiecie — Fince dostępne i mają już swe przedstawicielki, nawet 5 ukończyło wyższe studia teologiczne, są też kobiety — inżynierowie, architekci i t. p.

Rada narodowa kobiet w Finlandji jest łącznikiem pomiędzy organizacjami międzynarodowymi, a fińskimi.

Liczne organizacje i związki kobiece w Finlandji odznaczają się wielką solą darnością, wyłaniają one wspólne komitety, których celem jest opracowywanie pewnych projektów, np. wniosku o zmiany w prawie małżeńskim i t. p. Przy Radzie narodowej kobiet w Finlandji pracują także właśnie dwa komitety:

1. Komitet podniesienia moralności, który pracuje równoległe do Komitetu, ustanowionego w tym samym celu przez rząd.

2. Komitet centralny ekonomji domowej, który opiera się na zasadzie, że rozwój ekonomji narodowej jest zależny od stanu ekonomji domowej.

Dużo pracy i wysiłków oddają kobiety opiece nad dziećmi i choremi, toteż z jednej strony Stowarzyszenie im. Mannerreima mające na celu opiekę nad dziećmi, a z drugiej strony kursy infirmierskie prowadzone prze Man-

nertrejma, przy generalnym szpitalu, które stały się wzorem dla większej ilości kursów podobnych zakładanych w całym kraju, są chlubą Finlandji.

Udział kobiet w życiu religijnem kraju jest zapewniony przez prawo uczęszczania na parafjalne zgromadzenia religijne.

Między pozostałymi jeszcze ograniczeniami, o których zniesienie walczą kobiety fińskie obecnie, jest prawo małżeńskie, które opierając się na ustawach z r. 1734 oczywiście nie może zadawać w czasach obecnych.

Projekt zmiany prawa małżeńskiego jest już podany do parlamentu. Z innych ograniczeń większe znaczenie ma prawo nie dopuszczające kobiety na stanowisko sędziego.

Wreszcie bogate życie tężni w Stowarzyszeniu Kobiectem „Lotra Sward“, o którym pisaliśmy w 9 N rze „Bluszczu“.

Znaczne miejsce w pracy wszystkich organizacyj kobiet zajmuje wychowanie praktyczne. Wszelkie dziedziny przemysłu, wszelkie go-



spodarcze wiadomości kobieta fińska znaleźć może w licznych, doskonale postawionych, prowadzonych przez siły fachowe szkołach.

Szczególnie uwzględniane są prace domowe, które dają możność zarabiania, nie wychodząc z domu (np. zabawkarstwo). Kładąc tak wielki nacisk na wychowanie praktyczne kobiet, pionierki ruchu emancypacyjnego twierdzą z wielką słusnością, że kobieta umiejąca dobrze dać radę z gospodarstwem znajdzie napewno czas na pracę zarobkową, społeczną lub naukową.

Szczególnie Stowarzyszenie Marttayhdistys, mające na celu poprawienie bytu ekonomicznego, drogą odpowiedniego wykształcenia kobiet, tworzenia kooperatyw, szkół i t. d. ma ogromne zasługi w podniesieniu dobrobytu kraju.

Wanda Krabolska

GMINA SZKOLNA

Gminy szkolne istnieją u nas od kilkunastu lat. Gdyby przyszło na podstawie dotychczasowych rezultatów wydać sąd o nich, byłibyśmy bądź co bądź w kłopotcie.

Czy młodzież, zorganizowana w gminy, stała się lepsza, bardziej obowiązkowa, czy robi większe postępy w nauce? Trudno doprawdy tego się dopatrzeć.

I choć zgadzam się zupełnie z p. Dr. Kozłowską, która w artykule: „Wychowawca a samorząd szkolny“ powiada, że: „Znakomita większość wśród kierowników szkół i nauczycielstwa należy do malkontentów“, to nie mogę się zgodzić, aby „niemałą rolę w niechęci tej odgrywał fakt, że często ani kierownik szkoły, ani nikt z personelu nauczycielskiego nie orjentował się, jak wygląda organizacja samorządu i jaka rola przypada wówczas wychowawcy“. Przeciwnie, mam wrażenie, że najwięcej malkontentów spotyka się właśnie wśród nauczycielstwa w tych szkołach, gdzie samorząd istnieje.

Przyczyna niechęci leży widocznie więc gdzieś indziej — nie w braku znajomości rzeczy, ale w niezadowolaniu z rezultatów.

Rezultaty te bowiem — trzeba to stwierdzić z całą odwagą — nie są jednak takie, jakich się spodziewali zwolennicy. Jakiś odosobniony wypadek dodatni, a choćby kilka, nie zmieniają ogólnego stanu rzeczy. Faktem jest, że prawie we wszystkich szkołach samorząd istnieje

i faktem również, że wyniki są co najmniej nikłe.

Badając przyczyny tego zjawiska, trzeba zacząć od kwestji zasadniczej: czy sama idea samorządu jest rzeczywiście racjonalna bez zastrzeżeń i w każdym wypadku?

Jeżeli brać będziemy rzecz teoretycznie, nie pozostanie nic innego, jak idei tej przyklasnąć. Albowiem cóż może być piękniejszego, jak to, aby młodzież już wcześniej zaprawiała się do życia społecznego, do solidarnej odpowiedzialności i samopomocy? Któżby nie pragnął, aby tego rodzaju organizacje mogły istnieć i rozwijać się pomysłnie?

Ale niestety, jak zawsze, między pragnienia a rzeczywistość wciska się cała masa warunków, stosunków, trudności.

Przedewszystkiem zasadnicze pytanie: czy ogół dzieci w wieku szkolnym dorósł do tego, aby samodzielnie się rządzić? Bo jeśli formy te są im tylko sztucznie, z zewnątrz narzucone, jeśli nie leżą w zakresie ich dojrzałości psychicznej, mogą kryć w sobie niejedno niebezpieczeństwo, narazić na niejedną szkodę.

Kto chce rządzić — mówili starożytni — musi najpierw nauczyć się słuchać. Otóż to właśnie! Czy młodzież w tym wieku nauczyła się już dostatecznie słuchać? Czy wie już, co znaczy postanowienie, czyn, odpowiedzialność, karność

społeczna i poszanowanie władzy? Bo jeśli tych wszystkich czynników jej brak — a pamiętajmy, że każdy z nich wymaga długiej i umiejętnej tresury — to nie ludźmy się, że, pozostawiona sama sobie, w tych młodocianych organizacjach je zdobędzie.

Organizacja gmin szkolnych powstała na Zachodzie, w warunkach specjalnych: w szkołach wzorowych na wsi, w klasach, liczących po kilku, kilkunastu uczniów, którzy przez cały szereg lat żyją i pracują razem pod kierunkiem nauczycieli, oddanych wyłącznie tej pracy. Przy tak ścisłym kontakcie w życiu codziennym wychowawcy mogą czuwać i dyskretnie kierować każdym krokiem gminy. W takich warunkach i w takiej atmosferze może być mowa o organizowaniu „małych społeczeństw“ szkolnych, które naprawdę funkcjonują, rozwijają się i stanowią doskonałą szkołę życia dla młodzieży. Zresztą samo wspólne życie codzienne daje dużo sposobności i niejako wymaga takiej organizacji.

Inaczej przedstawia się sprawa w szkołach publicznych z wielką ilością dzieci, gdzie nauczyciele i wychowawcy, mając czas ograniczony, mogą poza lekcjami utrzymywać z młodzieżą tylko bardzo słaby kontakt.

I trudno się temu dziwić. Trzeba liczyć się z konkretnymi stosunkami. Nauczyciele należą dziś u nas do ludzi najbardziej przepracowa-

nych. Aby móc utrzymać siebie i rodzinę, aby móc wychować i wykształcić swoje własne dzieci, muszą przyjmować uboczne zajęcia, uczyć nieraz w kilku zakładach, chodzić na liczne konferencje, „wywiadówki“ itd. Czy mimo najlepszych chęci stać ich na to, aby oddać się zupełnie życiu wewnętrznemu klasy?

Podobnie ma się zresztą rzecz i z uczniami. Mając cały dzień zajęty nauką: w szkole i w domu, prywatną nauką języków, muzyki, korepetycjami itp., nie mają prosto czasu na wspólne zebrania i wycieczki, na wytworzenie wspólnego życia organizacyjnego.

Toteż najczęściej słowo „gmina“ zostaje tylko pustym dźwiękiem, któremu nie odpowiada żadna treść realna, a szumne godności: wójtów, prezesów, sekretarzy i skarbników czczemi tytułami bez praw i obowiązków.

I w tem właśnie kryją się dwa wielkie niebezpieczeństwa: z jednej strony gonitwa za tytułami, a z drugiej przyzwyczajenie do lekceważenia zarówno przyjętych obowiązków, jak i władzy, dobrowolnie wybranej. W naszym społeczeństwie, które cierpi przeważnie na przewagę słów nad czynami, tego rodza-

ju zjawiska są stanowczo szkodliwe.

Niejednokrotnie zapytywałam klasy, w których zaczynałam naukę: czy macie gminę? a otrzymawszy odpowiedź twierdzącą, pytałam dalej: co robi wasza gmina? — Tu następowała pauza, a wreszcie kłopotliwy uśmiech: „Właściwie nic“ — „A cóż na to wójt i cały zarząd?“ Zamiast odpowiedzi znowu uśmiech, wyrażający mieszaninę lekceważenia i pobłażliwości.

Powiedzą mi, że winę w tym wypadku ponosi wychowawca klasowy. Tak, może... Ale tu znowu wracamy do tego, z czegośmy wyszli. Wychowawca klasowy widocznie nie ma czasu, nie może, czy też nie umie tem pokierować.

Jakkolwiek sprawy się mają, trzeba się liczyć z tem, co jest faktycznie. A z tego punktu widzenia uważam, że stanowczo bardziej szkodliwe są te wypadki, w których mamy do czynienia z „gminami“ pozornymi, niż te, w których gmin wcale nie ma.

Należy bowiem pamiętać o jednej rzeczy, że klasa, w której raz stanęło słowo: „samorząd“, nie musi wprawdzie dojść aż do „samo-

woli“, ale w każdym razie następuje tam duże obniżenie autorytetu nauczycieli i karność uczniów. Albowiem młodzież, jak i ludzie dorośli, łatwiej przyswaja sobie prawa, niż obowiązki. Wyrobienie solidarnej odpowiedzialności całej klasy nie jest rzeczą łatwą, a tymczasem pod osłoną „gminy“ znika indywidualna odpowiedzialność poszczególnych uczniów. I w ten sposób tracimy dawne — jeśli nawet niezbyt doskonałe, to w każdym razie realne — czynniki wychowawcze, nie zdobywając na ich miejsce żadnych nowych.

Reasumując moje skromne uwagi, postawiłabym kwestję w ten sposób: Gmina szkolna, instytucja w zasadzie dobra i pożyteczna, nie może, niestety, i nie powinna — przynajmniej narazie — być wszędzie stosowana. Tylko w takich wypadkach może być o niej mowa, gdy pozwalają na to lokalne warunki, a więc: skład klasy i jej rozkład zajęć, stosunek wychowawcy do uczniów, jego czas wolny i zrozumienie sprawy samorządu — a wreszcie najważniejsza rzecz — istnienie kilku przynajmniej uczniów, którzy swoją indywidualnością i swoim wpływem dają rękojmię, że rzecz cała się uda. K. S.

NÁPOLI (PARTHÉNOPE)

(NEAPOL)

W innych miastach, u innych narodów, pociągałoby to za sobą tyśiąć śmiertelnych przejechań dziennie. Tu nic!.. Tramwaj, autobus zatrzymuje się o milimetr, o włos od przechodnia. Włoch to jest skończony akrobata! Idealne skoordynowanie ruchów, zimna krew, spokój, przytomność umysłu to wszystko mu dają jego zdrowe, silne nerwy.

Obserwuję wszelkiego rodzaju woźniców: torowy, szofer, dorożkarz mają w oczach wyraz skupionej do najwyższego stopnia uwagi, wyszkolonej do automatyizmu. W ich oku siedzi genialny matematyk, który postrzega wszystkie opływające go linie ruchów, i błyskawicznie rozstrzyga jedno za drugim geometryczne zadanie: gdzie muszą wypaść punkta ich przecięć. — Porozumiewając się między sobą krótkimi znakami rąk i głowy, kierują też przechodniem: palec wskazujący poucza mię, czy

mam się już ruszyć, czy jeszcze stać!

Po pewnym czasie człowiek najbardziej nerwowy nabiera zaufania i spokoju. Oddziaływa na niego wyczuwane bezwiednie: ogromne poszanowanie życia ludzkiego.

Dlaczego w Warszawie tak nerwowo tłoczą się ludzie przy wyjściu z tramwajów? — Bo każdy wie, że ostatni w szeregu, jeżeli wyjdą z tramwaju, to pod grubym ryzykiem. Nie jeden już kości połamał dla tego, że dyktatorski dzwonek pana konduktora dał hasło ruchu wtedy, gdy on jedną nogę miał już na ziemi, ale drugą jeszcze na stopniu. „A cóż to?! burżujskich nóg będę pilnował?!“ „Zezwierzęcenie powojenne“ usprawiedliwia się dzisiaj. „Walka klasowa i jej nieważność“ — mówiło się przedtem. — Włosi przebyli także wojnę. — Ale rozum starej rasy, dziedzic tyłu

kultur, nie pozwala przenosić jej na teren życia elementarnego — bo tutaj każdy zło — czyniący szkodzi niemię sobie i swoim, ile przeciwnikom. Tu musi być zawieszenie broni, jeśli nie chcemy nawzajem się wytepić jedni drugich.

Właśnie trzeba podziwiać, jak Włoch umie wszystko zrobić z klasycznym umiarem i zdrową równowagą. Jego aparat psychofizjologiczny jest stanowczo najwyższego systemu! To jest taka bogata natura! To jest taki szalenie zdolny człowiek!

Gdyby np. kto inny był na tyle co Włoch nieakuratnym, niesystematycznym, toby się zawałił, mając do czynienia z mechanizmem. Ale włoska wynalazczość błyskawicznie znajdzie to latyńskie modus in rebus, które zawsze ratuje sytuację: Wyrwie kołek z płotu, gwóźdź ze ściany, obedrze kawał wieszonoego worka, przybije ka-

mieniem, zaklepie błotem i już! — maszyna gotowa — jazda! — Czy zwrócił kto uwagę na numerację ulic włoskich? — To jest coś humorystycznego.

Oto kamienica, zaopatrzona numerem 105 — obok niej figuruje 8 z jednej strony, a z drugiej 63. — Naprzeciwko 11—33 — i 97. Niekiedy — bo i to byłoby monotonne! — przez jakiś czas ciągną się liczby porządkowe. 1, 2, 3, i t. d. — ale nie na długo! — powraca miła Włochom fantastyczność. W innym kraju ludzie podostawaliby obłędu, szukając bezskutecznie. Włochom to nie przyczynia najmniejszego kłopotu. Tak numerowanego domu nikt nie znajdzie, ale Włoch domyśli się, gdzie on stoi. Mów do niego najbardziej łamaną włoszczyzną — mów po polsku — żadnych nieporozumień! — zawsze odgadnie, czego chcesz od niego, potencie instynktu i intuicji są w nim nadzwyczajne!

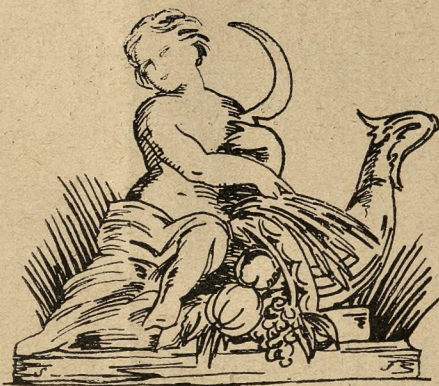
To jest demon: czyta w twych oczach, co myślisz. Matki Natury uprzywilejowany: „mamin synek”. Obok niewątpliwego machiavelizmu jest w jego naturze tyle czarującej otwartości i prostoty!

W pałacu książęcym widziałam drzwi bez klamki, przypierające się, jak u człowieka jaskiniowego: kamieniem. — Czy mam mówić o tych żelaznych fartuszkach... stanowczo za krótkich... któremi każda ulica włoska doprowadza do wściekłości cudzoziemców, a zwłaszcza cudzoziemki?!

„O Włosil, zachowajcie swoje szczęśliwe usposobienie, z którego naśmiewają się inne narody, bo wam go zazdroszczą! W tem jest wasz wielki wdzięk i wasza wielka wyższość, że jesteście tak prości i naturalni, bez szminki i bez ceremonji „senza complimenti e senza vergogna”, w waszych wrażeniach, jak i w waszych uczuciach, w waszych potrzebach fizycznych i w waszej bujności duchowej, w waszych zaletach zarówno, jak w złych skłonnościach — i że uważacie za rzecz zupełnie naturalną: bać się, lub faire l'amour” (Klaczko: Wieczory Florenckie”).

„Czyż niechlujstwo włoskie, czy i bielizna, susząca się na ulicach należy do tego wdzięk?” — słyszę w duchowym moim telefonie...

Prawda! nic o tem nie wspominałam! — a to jest przecież clo u



wszystkich włoskich „impressji” — to jest to, co powtarzają pokolenia za pokoleniami, co przeszło już do tradycji.

Zapewne... zapewne... gdy tu przyjedzie Holender, u którego w kraju bruki wszystkich ulic codziennie z rana myją się szczotką i mydłem... wierzę, że mu się tutaj wydaje brudno... Ale my, ludzie z Polski?!... Ja przynajmniej, dla miłości prawdy, zeznać muszę, że jakkolwiek Włochy są nieschludne: Nalewek ja w nich jednak nie spotkałam... ani takiego np. Jędrzejowa! — Co więcej: na placu Św. Piotra, wobec kolumnady Berniniego, kopuły Michała Anioła, i tylu wielkich wspomnień, które do tych murów przywarły — wyznaję: tego, że ten plac jest niezamieciony, że pod nogami wałęsają się brudne papierki; ja nie widzę!

Pamiętam: grał kiedyś Isai na swoich czarodziejskich skrzypcach... Raptem, trąca mię łokciem moja towarzyszka: „niech pani spojrzy... na lewo!.. Jadzia ze swoim narzeczonym tylko co weszła!..”

O mordercza [sposzregawczość!

Dziękuję ci, mój Boże, żeś zaopatrzył oczy i uszy moje w takie jakieś oczyszczające filtry, które do świadomości mojej nie dopuszczają ani śmieci na placu Św. Piotra, ani żadnej „Jadzi” z jej narzeczonym, kiedy gra wielki Isai. — Dzięki temu ja mogłam w moim życiu widywać czasem zjawiska cudowne!

(c. d. n.)

Marja Grossek-Korycka.

AFORYZMY I PARADOKSY

Są radości, które wymagają niemniej szacunku od tragedji.

Pobłażliwość jest pewną formą pogardy dla ludzi — gdyż, aby wszystko przebaczyć, trzeba bardzo mało wymagać!

Dobrze, jeśli ktoś potrafi żałować niektórych swoich czynów — większość ludzi bowiem uznaje wszystkie swe postęпки za doskonałe.

Lepiej być zamordowanym przez porządných ludzi, niż być wskrzeszonym przez lichých.

JULJUSZ-WIRSKI

P R Y M I T Y W Y

I

Wieczorami zagląda mi w oczy
 Jakaś wielka nieludzka tęsknota,
 Cichy odbrzask mych jutrzejszych męk, —

Wieczorami, gdy zachód krwią broczy,
 Moja dusza składa Bogu wota
 W przernajcichszym, zbożnym splocie rąk...

II

Odchodzi Twoja dusza ode mnie coraz dalej:
 Świat cudów, świat słoneczny znowu w gruzy się wali...

W mroku zdarzeń Twój uśmiech słodki się rozwiewa:
 Nad sercem opuszczonem jesienne szumią drzewa...

Odchodzi Twoja dusza, odchodzi i nie wraca, —
 Zamierzchły sny o szczęściu, zmarniała ducha praca...

Ktoś szary patrzy we mnie i szydzi bezlitośnie...
 Ostatni mi umiera serdeczny sen o wiosnie...

III

Nie powiem Ci tego, jak kocham, bo tego powiedzieć nie można:—
 Bolesna jest miłość moja, — pokorna jest wielce i zbożna.

Wiem tylko, że zło nawet samo przyjmę od Ciebie z uśmiechem,
 I że ta miłość jest wszystkim, ale przenigdy grzechem! —

Nie powiem Ci także, jedyna, jak nieskończenie mi drogą,
 Bo tego me słowa ubogie ni ująć ni wyznać nie mogą. —

Wiem tylko, że serce me harde przed Tobą ugina kolana,
 Że kiedy się modłę do Boga, do Ciebie się modłę — kochana!

IV

Dzieciątko moje serdeczne, panienko Ty moja biała! —
 Żle wczoraj było i smutno: — deszcz padał... wichura wiała...

Miałem Ci tyle powiedzieć o tem, co męką mnie darzy;
 Ktoś bólem zamknął mi usta, smutek położył na twarzy...

I oto dobrze się stało, żem prawdę smutku zamilczał:—
 Moją pierś szarpie jedynie obłędu morda wilcza!—

Dla mnie jedynie zostały — upiory samotnych komnat,
 Ścian białych nieme szyderstwo, niedola moja niezłomna...

Dzieciątko moje serdeczne, panienko Ty moja biała! —
 Żle wczoraj było i smutno: — deszcz padał... wichura wiała...

MARJA JEHANNE · WIELOPOLSKA

BRATERSTWO LUDÓW

(Rzecz o dziele Nieświadomości)

7. NIECH ŚPI SPOKOJNIE BIAŁY,
ZADUMANY HINDUS, KTÓRY
LEGŁ POD GRUZAMI GOTYC-
KIEJ ŚWIĄTYNI NAD PIAWĄ,
OBCY JEJ BOGOM, OBOK NA-
PUSZONEGO ANGIELCZYKA.
OBAJ ŚMIALI SIĘ ZAPEW-
NE NA OPACZNY DŹWIĘK
IMIENIA MOJEJ OJCZYZNY,
A OBAJ ZGINĘLI DLA NIEJ.

Wprost na niego z za węgła roz-
strzelanego, przesłicznego kościoła
Santa Agnese, w mise en scenerie
niepospolitej, bajkowej, wyszło na
niego stworzenie najpospolitsze:
krowa.

Była jasnosiwa, gładka, jak po-
bielały bronz, ze smukłą, wysoką
lirą złotych rogów między
uszami.

Bardzo delikatna, miała wymię
pełne i bogate, a żrenice łagodne,
nierozważne i smutne.

Hindus zmrużył oczy, wzruszony.
Z obcości, z ciemności otworzono
mu nagle okno na olśniewający
skrawek jego świata. Wszystkim
borbom europejskim obcego świata,
zadumanego od wieków i po wieki,
świata „uczuc wklęsłych“, idącego
w głąb i wzywyż, a nigdy naprzód.
Świata stojącego... Nosił on ten
świat w sobie po wszystkich po-
niewierkach frontu i okopów, dla-
tego lada drobiazg poruszał go
i wzniecał w nim pożogę czarow-
nych mirażów. Mirażami temi był
bardziej niż komiśnym chlebem.

Teraz naprzeciw złotawej liry
i łagodnych, nierozważnych, smut-
nych żrenic, podparł głowę obu
dłońmi, złożonemi na karabinie
i słuchał. Umiał słuchać rzeczy
najdalszych, poprzez wrzawę rzeczy
bliskich. Doprawdy słuchał niedo-
sięgalnych pozornie odgłosów swe-
go kraju.

Coraz to nowszy apostoł głosi
tam słowa nie nowe, nietykane
zgrzeblem przewrotów. Coraz to
inny głos bezbarwny, zdławiony,
schorzały, panuje tam nad tysiąca-
mi mil kwadratowych. Na rozkaz,
szeptany prawie, trzysta milionów
luda rozpoczyna tam post-trzysta
milionów luda zaczyna prząść jak
w śnie lunatycznym na kołowrot-
ku — trzysta milionów luda zdzie-
ra ze siebie europejskie szaty
i obleka krajową tkaninę — a przez

miasta i dżungle płynie jedno imię,
teraz to, ponad wszystkie słowo
piękniejsze:

— Ghandi! Ghandi! który skrom-
nie twierdzisz, że nie masz specjal-
nych poruczeń od Boga, że jesteś
takim wysłannikiem, jakim każdy
z nas być może... Wobec dziwów
Europy, wobec oszałamiającej jej
kultury, młody apostoł powiada ła-
godnie: cywilizacja europejska? To
tylko natura tygrysa, bez tygrysa...

Kiedy wiara upada, kiedy
wzmaga się Zło, wtedy się
objawiam, ja, Kriszna, w
najkruchszej nawet formie.

Dla wzmocnienia Dobra,
dla zniszczenia Zła, dla
utrwalenia Dharmy, odra-
dzam się jeszcze i wciąż...
dlatego (dodaje Ghandi) nie widzę
Chrystusa samotnego na tronie.

Hindus rzuca wzrok nieufny w
stronę zniszczonej świątynki, która
leży prawie tuż przy szajcach, po-
za miasteczkiem. Przez wystrzela-
ne witraże Santa Agnesa, przez
obalone koronkowe portyki, nie
patrzy żadne bóstwo, jeno [żałość
i pustka.

Ludzie wnieśli bóstwa i ludzie
wynieśli.

Teraz tylko jaskółki i wróble
wiecują strwożone ne szczybatych
gzymsach wnętrza. Łuk jeden tuż
nad wejściem, naderwał się i za-
trzymał w upadku, tak, że tworzy
figurę na wspak gotyckiemu łuk-
kowi, figurę skreconą ku dołowi:
wyraźnie dwie szczupłe ręce, zała-
mane desperacko. O kilka kro-
ków w prawo, leży w gruzach ja-
kaś fabryka: wiją się wstrętne wę-
że stalowe, koła żelazne, konwul-
sje rur, drągów, szprych, leji, zde-
wastowany wysiłek ludzki. Z ta-
joną radością obserwuje to Hin-
dus.

— Jakżeś mądrze nakazał czło-
wiekowi, o Ghandi! aby się odma-
szynował! Jakżeś czarującą wzo-
wił pieśń o kołowrotku!

Dwoje łagodnych, smutnych, nie-
rozważnych oczu patrzy wciąż
w niego z pod złotawej liry rogów,
tuż przy oberwanym krucyfiksie
z marmuru. Także o tem stwo-
rzeniu hojnem i łaskawem, zapom-
nieć chciano w jego kraju. Ghandi
stał na gwałtownością niesłycha-
ną w obronie tradycji, którą na-
zwali szaleńcy bałwochwalczą. Mle-
kodajne stworzenie powróciło do

swoich praw, „wynosi nas ono
przecież, poza kres naszego ga-
tunku, albowiem identyfikuje nas
ze wszystkim, co żyje — znakiem
braterstwa jest człowieka ze zwie-
rzęciem“...

Pług wojny orze wściekle nie-
boskłony, a Hindusowi przypomi-
nają się te słowa Mahatmy:
wszystko cokolwiek żyje,
jest twoim bliźnim, czło-
wieku“...

Trzeba ratować bliźniego.

Morze ognia zasypuje właśnie
szańce z furją zdwojoną, lecz Hin-
dus podnosi się żwawo. Słyszy
wprawdzie rozkazy i wołania za
sobą, lecz nie słucha. Idzie wolno
ku łagodnym, nierozważnym, smut-
nym oczom, aby ich nie spłoszyć
i zrywa po drodze garść przydepta-
nej trawy.

— Masz! — mówi poważnie i
tkliwie, podsuwając wilgotnemu
pyskowi pęk zielska, poczem skwa-
pliwie odgania zwierzę z niebez-
piecznego punktu.

Choć rzecz zwyczajna i prosta
w zasadzie, czyni to jakoś nie
zwyczajnie, jakoś obrzędowo, jakoś
królewsko. Czynił to niewątpliwie
tak samo za dynastji Kashańów,
w świątyniach Maghady, składając
ofiary Śladowi Stopy, czy Kołu
Wiecznemu, czy świętemu bykowi
w Tanjere. I zaraz potem nastę-
puje koniec świata.

Z trzaskiem wali się ostatnia
ściana boczna Santa Agnese —
słup dymu, rumowisk, czapek ka-
rabinów, menażek, ognia, strzela
ku niebu. Hindus nie wyrzekłszy
słowa, rozkłada ręce jak Shiwa,
tańczący na pięciogłowym wężu
i pada na wznak pod gruzami
kościółka. Po chwili częściowego
ocknienia, czuje, iż padając, chwy-
cił coś ręką, lekko zatem podnosi
piękną, krwawą głowę i widzi, że
trzyma w dłoni dłoń angielskiego
oficera.

Delikatnie, acz nadludzkiem wy-
siłkiem, wysuwa swoje palce z nie-
pożądanego uścisku i składa je na
piersi. Znowu jakoś niezwyczajnie,
znowu jakoś obrzędowo,
wiernie jakiemuś zwyczajowi. Oczy
jak noc widzą jeszcze dokładnie,
że złotawa lira uszła śmierci ku
bezpiecznemu schronisku i tak
utkwione w ów punkt nierucho-
mieją zwolna, po wsze czasy.

8. NIECH ŚPI SPOKOJNIE ŻYDEK, WYGNANY SIŁĄ Z INTENDANTURY NA FRONT KARPACKI. CYGANIŁ I SKUBAŁ MOJĄ OJCZYZNĘ, ILE SIĘ TYLKO DAŁO, A DLA NIEJ ZGINĄŁ, WPATRZONY MARTWIEJĄCEM OKIEM W GRANATOWY SZCZYT.

Każda żyłka trzęsie się w żydku. Mrówki urządziły namiętne kawałki po jego chudych plecach i dalej, aż do odmrożonych pięt. Olympjady triumfalne organizowały wszy.

Drżał, siniał, mrugał powiekami, cmokał nerwowo, trzepał palcami, odwracał się, kręcił w kółko.

Kiedy lunął pierwszy granat o dwa kroki, zgłupiał. Zmieniony w słup, stał i patrzył jak na zgoła niewinny, acz hałaśliwy stragan Lejby pośród delatyńskiego rynku. Natomiast kiedy innym razem zerwała się wrona z gałęzi, zaczął umykać co sił przed siebie, zgubił czapkę, zgubił tornister, zgubił karabin.

— Icek! czy ty się więcej boisz wrony od granatu!?

— Dlaczego więc? Dlaczego ja nie poczebuję się więc bać w sercu, niżli w nogach?!

Zazwyczaj odpowiadał przysłowiami, których zapas miał nieograniczony. Kiedy naprzykład prawiono wokół, że udał się atak taki a taki, żydek robił kwaśną minę:

— Co z tego, że głupstwo się uda? I tak będzie to głupstwo.

Kiedy go „pan Zugsführer“ beształ od ostatnich parchów, odchodził żydek milcząc, lecz potem wygłaszał w nieskończoność płaczące, mądre parable:

— Spadnie kamień na garnek: źle z garnkiem. Spadnie garnek na kamień: także źle z garnkiem. Na każdy sposób zawsze źle z garnkiem. Ot bida! Ale — dodawał po chwili z innej beczki, melancholijnie: dwie nadzieje poczebuję mieć bidny człowiek, der arme Men ch. Albo, że stanie się tak bogaty, jak jego somsiad, albo że jego somsiad stanie się tak bidny jak un.

— Icek, czy twoja żona ładna?
— Ładna? Nie, ona jest brzydka, odpowiadał z całym przekonaniem.

— Pocóż się żenił z brzydką, ty, taki, śliczny chłopiec!?

— Lepsza brzydka dla siebie, jak ładna dla drugich.

— Ty jesteś, cybuchu, zanadto mądry!

— A cóż mi z mojej mondrości, kiedy un należy do głupich?

— Kto „un“? Brusilow? czy królowa rumuńska?

— Świat.

Mimo uporczywego, chronicznego przerażenia, mimo przemęczenia fizycznego, mimo głodu, odmrożonych nóg i zaziębień, nie zapomniał żydek ani na chwilę o handlu. O ile tylko mógł, zbaczał z drogi, wyprzedzał kompanię przy wkraczaniu do jakiejś miejscowości nowej, leśniczówki, karczmy i zakupywał tysiączne przedmioty, które potem z odpowiednim, a raczej z nieodpowiednim zyskiem odsprzedawał kolegom. Pojąc wprost się nie dało, jakim cudem funkcjonowały te ośrodki kalkulacyjne w nędznym, rozstrzęsionym, półprzytomnym mózgu żydka. Był to chyba jakiś akt zupełnie podświadomy, działanie utajonego jestestwa, niezławionego niczem poza zdezastrowaną, do cna sferą zewnętrzzną.

Tytoń w tych transakcjach odgrywał rolę oczywiście pryncypialną. Żołnierze kupowali na wagę złota kapuściane liście, dostarczane przez żydka z niezbadanych czeluści jego płaszczki i tornistra, ale też mścili się potem okrutnie, zwierzęco, z pasją niestygnącą. Wszystkie złość rasy odmiennej, odmiennej kultury i interesów, nie wybuchała może dorywczo w owym okresie prawie że równości ludów, a w każdym razie silnego koleżeństwa, lecz trawiła szeregi polskie, madziarskie, czeskie, austriackie stale w stosunku do nieszczęsnego żydka.

Nie bali się oni może mniej śmierci od niego i tej męki wokół wietrzącej, ale mieli zdecydowany przedewszystkiem lęk śmieszności i dziecinne wprost poczucie miłości własnej. Udawali obojętnych, zblazowanych, lub odważnych i fanfaronujących, udawali nieraz mozolnie, w myśl cichego, tajnego układu, obowiązującego na wszystkich frontach.

Odrucłowo wprost przeciwstawiali gigantyczności dziejowych wypadków tę forsowną izolację od małości, od śmieszności — szalbierstwo dziwacze i ciężkie — a oto żydek był śmiesznym w każdym calu, wciąż, błazeńsko śmiesznym, prowokującym. Obnażał swój błąd strach plugawo i to właśnie napęniało serca towarzyszy odrazą i złością do niego, choć niby wszyscy razem i każdy z osobna bawił się ochoczo jego bezwstydną pokracznością.

I tak wśród tej nienawiści, wśród tego pośmiewiska, docinków, przewisk, poszturchiwań, szedł żydek ku swemu nieubłaganemu przeznaczeniu.

Bili się już trzeci dzień w ogniu szaleńczym, w śniegu po pas. Chmury były nad nimi na wysokość ramienia, spowijały ich, spa-

dały na ich głowy jak orły, jak sępy, jak mokre płachty, jak mroźne całuny, żałobniejsze od najżałobniejszych. Las był pod nimi milionopienny, kolumnami z czerwonej miedzi i zielonawego alabastru odcinający ich od kraju, od rodziny, od życia, od rzeczywistości — raz na zawsze, granicznikiem nieprzekraczalnym.

Za sobą, na prawo, mieli pusty, siedem metrów wysoki krzyż na którego jodłowym ciele złożyły się krwią żywicy osoplone, patetyczne litery:

Legjony polskie dźwignęły ten krzyż, przechodząc góry, doliny, i wały do Ciebie, Polsko i dla Twej chwały..

Na lewo przed nimi wznosił się inny monument, monument grozy, epos gniewu Bożego, niewiarogodny romantyzm śmierci i niebytu, zawarty w jednym złomie, w jednej bryle, w jednej kopule lucyferowego cerkwiszczaka: Howerla, szczyt Karpat Wschodnich najwyższy, tak dalece ciemnoszafirowy, że nawet zabarwiający mgłę na szafirowo, na bledszy nieco, niklejszy odcień szafiru.

Welon ten spowijał szczyt Howerli, czasem rozdzierał się i opadał gwałtownie, jak z ramion romantycznej Karjatydy, czasem skręcał się w turban, w serpentynie, czasem pisał na nim znaki kabaalistyczne: sygnały wiekuistej potęgi, zagłady i niedocieczenia.

Nareszcie ruszyły kompanje do ataku, ale bez żydka.

Żydek został.

Choć miał oderwany cały bok wraz z ramieniem, tak, że obnażone płuca dymiły na mrozie, krzyknął dwukrotnie za odchodzącymi:

— Ty!... hörst du... Laskowski! a pamiętaj żeś mi winien jeszcze cztery korony i dwanaście halerzów... Las...kow...ski!!!

Odpowiedziało milczenie, a raczej daleki trzask łamanych gałęzi i zsuwających się po lodzie, okutych, spieszonych stóp.

Teraz na nagiej, szklistej skale lodowej, jak ćma przygwożdżona szpilką umierał, z rozpaczą obłąkaną, z przerażeniem, niemającym nazwy, ze szlochom rozsadzającym żebra. Płuca jego dymiły na mrozie, jak odkryty trybularz w obliczu Arki świętej. Na śniegu złożyły się i igrały rozprysnięte zapasy tytoniu, pudełka zapalek, kolorowe bibułki, cały kramik wędrowny i bezcenny, obrócony w niwecz.

Kompanja znikła już ku niżowi. Ani się obejrzała na jego krzyk.

W dole miał linję lasu, która go już istotnie odcinała od życia, nad

sobą roztarganą turbinę chmur, niedaleko posępny cień krzyża, a daleko, bardzo daleko: samotny i feudalny szczyt Howerli.

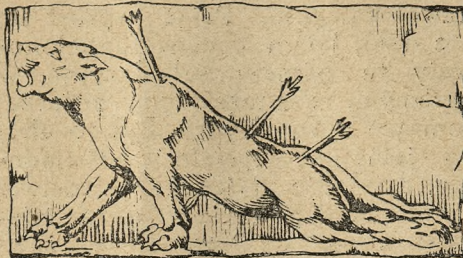
W miarę jak typowe, kaprawe, chytre oczy żydka zachodziły blachmanem, siła nieznaną oczyszczała je z wszystkich naleciałości instynktów i rasy.

Uduchowiały się, rozślniewały. Odwracała się soczewka źrenic, zapatrzona dotąd jeno w obrazy życia i jego potrzeb codziennych.

Błąkające się, zżarte niepokojem i męką oczy, wbił w granatowy szczyt góry i wydał mu się on raptem rzeczą znajomą, widzianą, czy czytana: świętą, ojcystą górą Ararat.

Tęsknił do tej góry, do tych krain ojcowskich swego czasu, ra-

czej teorytycznie, po chajderach, on i jego współwyznawcy. Tęsknota ta stawała się o tyle realną dawniej, o ile wymienianą bywała na jakąś międzynarodową, utylitarzną monetę jątrzeń. Poza tem teoria mglista, obrzędowa, sucha i bezdźwięczna, była sprzętem nigdy niewynoszonym poza bramy synagogi.



I V O A N D R É

WĘDRÓWKI ALIJI DŻERDŻELESA

(tłum. z Serbo-chorwackiego M. Zn. Szczepańska)

Dżerdżeles idzie, opalony, mocny, w poczuciu nowej siły, która pod jesień zbiera się zwykle w człowieku. Wszystkie miejsca są miłe, czeka go wiele radości, mnóstwo radości dają dnie i ludzie.

Był zapraszany przez wszystkich z kolei na „iflar“, czyli postną wieczernę. Pewnego popołudnia, gdy, dążąc do Bakarewiczów, przechodził między Kiszlą a Turbetem, zatrzymało go coś przed jednym domem na rogu. Jakaś stara kobieta, posługaczka, szorowała splekanymi rękami bramę mialkim piaskiem. Wtem uchyliła się jedna połowa wrót, i wyjrzała przez nie dziewczyna w jasnych szarawarach i czerwonym kaftanie. Dała coś służącej i stała przez chwilę we drzwiach wpółotwartych.

Jak zawsze na widok piękności kobiecej, Dżerdżeles stracił odrazu wszelki rachunek czasu, pojęcie o rzeczywistych stosunkach i wogóle o rzeczywistości, dzielącej ludzi jednych od drugich. Widząc ją taką młodą i pełną, jak winne grono, nie przyszło mu na myśl wątpić w swoje do niej prawo, toć tylko rękę wyciągnąć!

Chwilę patrzył na nią, stojąc na rozsuniętych nogach i przymrużając trochę prawe oko, poczem zaśmiał się półgłownie i rozkładając ręce, a prawie podstakując, ruszył ku niej. Dziewczyna patrzyła nań czas jakiś, nagle chwyciła staruchę

za rękaw i pociągnęła ją za sobą w podwórze. Mignęły Dżerdżelesowi w oczach gibkie i rosłe kształty dojrzałej dziewczki — a potem trzask! i nie zobaczył nic, prócz skrzypnięcia zamku i hałasu zakładanego skobla.

I tak został stojący. Cień bezmyślnego uśmiechu błąkał się jeszcze na jego twarzy; wreszcie odwrócił się:

— Patrzcie!

I w nieświadomem zdumieniu powtórzył ten wyraz bez sensu i znaczenia kilka razy, jak to robi człowiek, który się mocno, mocno uderzy.

Ściemniło się. Widać było na Koszli krzywonogich żołnierzy, jak skrobali przypalone rynki od „pilawa“⁸⁾, szykując się do „iftaru.“ Dżerdżeles poszedł wzdłuż brzegu.

Podczas wieczery mówił bardzo głośno, aby zagłuszyć uczucie. Jadł, ale jedzenie bolało go aż w sercu. Po kolacji, gdy ciężko dysząc z nadmiernego najedzenia się i paląc leżeli na poduszkach, nie wytrzymał i wyznał młodemu Bakarewiczowi, bujnemu chłopcu, o zielonych oczach i rumianej twarzy, na której trwał stale urągły uśmiech. Opowiadał wszystko, sam się dziwiąc, że ta przygoda wygląda tak błaha i nieznacząca — w słowach. I niechcący rozszerzał i po-

Teraz wybuchła tęsknota żywa i wizja tej obcej góry, tego nijakiego, geograficznego punktu, stawała mu się nadspodziewanie wizją kojącą, faktem do głębi realnym i najśladszym.

Działy się te przemiany oczywiście z zawrotną szybkością.

Czasu nie było.

Wokół niego — teraz spostrzegł dopiero — umierali inni żołnierze.

Spojrzał na nich bez nienawiści już, spojrzał na rozsypaną machorkę bez żalu, westchnął głęboko bez strachu i zamknął oczy wraz z najdroższym sercem obrazem.

Spij, żydku, zakłakany w karpackie przełęcze.

Cyganileś, skubałeś moją Ojczyznę ile się dało, a jednak umarłeś dla Niej, nie myśląc. (c. d. n.)

większał rzecz całą, wplatając w nią wspomnienia z innych spotkań. Zagłuszał się słowami.

Nazajutrz wstał koło południa i zaraz skierował się do domu przy Turbecie. Dzień był wrześniowy po upalnej nocy. Wysoki, biały mur... ciężka, zamknięta brama... po ścianie pnę się wino... Naprzeciw domu znajdowała się cukiernia, z której ktoś zawołał na niego. Pozdrowiał go ze spokojnem uszanowaniem dawny znajomy Arnaut. Był to syn pewnego kupca, który całe życie tułał się po świecie, niby to handlując, a wrzeczywistości goniąc wiecznie jedną i tę samą namiętność, co zdarło go zupełnie. Teraz ziomkowie cukiernicy pokazali mu dziewczkę z białego domu na rogu i on całymi dniami nie ruszał się z cukierni, wpatrując się nadaremnie w bramę uwielbianej.

Gdy Dżerdżeles wszedł do środka, cukiernicy wysunęli się z za przegrody, gdzie, ciężko dysząc, miesili cukier i ciasto i rozesłali im dywan do siedzenia. Obaj uważali, by usiąść twarzą do ulicy i bramy. Ponieważ palić nie mogli, a męczyło ich pragnienie, więc z początku mówili bardzo mało, tylko co chwila spoglądali przed siebie. Dżerdżeles pierwszy poczuł potrzebę zwierzeń i opowiedział wszystko tamtemu. Arnaut ucieszył się bez żadnej zawiści, jego twarz żółta, głęboko pobruź-

⁸⁾ Pilaw — potrawa z baraniny i ryżu.

dżona i jego zagasłe oczy, ożywiły się i zabłysły. Zaczęli rozmawiać jak dwu przyjaciół. Podniósłszy lica blade z podstrzyżonymi wąsami, Arnaut mówił powoli, rozdzielając wyrazy:

— Ona jest, jak gruszka, dojrzała, gładka i miękka. Albowiem kobieta łańciska gorętsza jest od każdej innej.

I rozpoczęli długą i namiętą rozprawę po turecku, szeptem. Arnaut mówił głucho, z uśmiechem, który zawsze leżał na jego twarzy, jak jakiś cień niemiły. Dżerdzeles dowiedział się od niego historii owego dziewczęcia.

Nazywała się Katinka i była córką Andrzeja Poljasza, nieszczęśliwą z powodu swej piękności, o której śpiewano aż dwie pieśni po całej Bośni. Napadano z jej powodu na ich dom. Nie mogła nigdzie wychodzić. O świcie prowadzono ją na mszę ranną do cerkwi łańciskiej, a i to zawiniętą w zasłonę, jak Turczynkę, by nie mogła być poznana. Rzadko wychodziła nawet na podwórze, gdyż tuż zaraz znajdowała się szkoła, wyższa o całe piętro od ich domu i uczniowie tej szkoły, źle karmieni, a za to tego bici młodzieńcy, spędzali całe godziny w oknach, bladzi od żądzy, łowiąc ją spojrzzeniami po podwórzu. Gdziekolwiek się zaś zwróciła, widziała przylepioną do szyby twarz głupiego Alija, żółtego, bezzębnego idjoty, który był sługą w tej szkole.

Zdarzało się, że po burzliwym wieczorze, gdy żołnierze lub chłopcy sarajewscy pokrzykiwali i chrząkali pod oknami, dobijając się do drzwi domu, matka wymyślała jej, Bogu ducha winnej, zapytując ze zgorzaniem „w kogo się wdała”, że całe miasto przez nią warjuje i w domu spokoju niema, a ona słuchała, ściągając kaftan na pierśiach, bez śladu pojmowania w swych wielkich oczach. Często płakała od rana do wieczora, nie wiedząc, gdzie się ma podziać z tą swoją przeklętą urodą. Wymyślała samej sobie, gryzła się i męczyła w swej wielkiej niewinności, daremnie starając się zgłębić, co to takiego „niemoralnego” i „tureckiego” jest w niej, co doprowadza do szału mężczyzn, co tak rozpala i znęca do ich domu wojskowych i Turków i dlatego ona musi kryć się i wstydzić, a jej



rodzina żyć musi w ciągłym strachu? I z każdym dniem była piękniejsza.

Od tego czasu Dżerdzeles zaczął spędzać całe popołudnia w cukierni. Przychodziło tu też kilku Sarajewców. Przychodzili młodzi Bakarewicz i Derwiszbez z Szirokacza, ryż i zapachły od pijaństwa, a teraz wskutek postu, zły jak ryś; i Awdica Krcalija, drobny, mizerny, a żywy, jak ogień, znany rozpustnik i kobieciarz. Tu, w tej półciemnej cukierni, gdzie wszystko było poczerwiałe i lepkie od cukru i oparów, czekali, aż posłyszają wystrzał armatni i prowadzili długie rozmowy o kobietach, aby tylko zapomnieć o pragnieniu i tytoniu.

Dżerdzeles, z goryczą w ustach, spalonymi wargami i jakimś chorobliwym niepokojem w każdym mięśniu słuchał ich, śmiał się, a czasami i sam coś opowiadał, płacząc się i daremnie szukając wyrazów. A przed oczami miał ciągle dom Katinki z zamkniętymi drzwiami i zapuszczonymi żaluzjami. Jednego popołudnia, z nudy i złości pobili jakiegoś chrześcijanina, handlującego chlebem, który powążył się przejść koło nich z papierosem w ustach.¹⁾ Próbowali dla zabawy pokłócić o dziewczynę Arnauta i Dżerdzelesa, ale na próżno, bo Arnaut był nieporuszony w swym spokoju, wiecznie uśmiechnięty, bez śladu zawiści. Raz opłacili jednego dzieciaka i kazali mu z za węgla krzyknąć przeraźliwie:

— Patrzcie. — Katinka! jak się masz Katinka! Gdzie ty się podziewasz? Nigdy cię nie widać!

¹⁾ W czasie postu muzułmańskiego chrześcijanom nie wolno było palić na ulicach, aby nie drażnić umartwiających się wyznawców proroka. (przyp. tłum.)

Gdy to usłyszał Arnaut, zastrzygł tylko oczami i cicho, jak łośnica, przemknął się przez drzwi. A Dżerdzeles za nim. Dopadł go w progu i razem wylecieli na ulicę. Ale tu nie było nikogo: nudny, ponury wieczór przed iftarem i niemy, biały dom Katinki. Za rogiem ulicy słychać było na chodniku tupot nóg uciekającego dzieciaka. Wszyscy śmiali się długo i Dżerdzeles śmiał się także.

Młody Bakarewicz zaproponował, żeby zawołać lwkę Giguszę, pewną starszą stręczycielkę z Bistriku, która zachodziła do każdego domu, ponieważ sprzedawała płótna, ręczniki haftowane i jedwabie, ale żyła nietyle ze swego płótna, ile z cudzego grzechu i cudzej niewinności. Była to otyła i wysoka starucha z piwnymi, okrągłymi oczami, rozmawiając, nieustannie dotykała ręką kolana Dżerdzelesa. Obiecała rozpatrzyć się w tej sprawie, ale nie robiła nadziei, bo do dziewczyny dostać się było niemożliwe i odeszła, żegnając się głośno z towarzystwem.

Nazajutrz po południu zastał Dżerdzeles Arnauta i Giguszę. Arnaut kiwał głową.

— Hej, hej! uszła nam, uszła!

— Uszła, Boga mi, effendija, przed dwoma dniami. Wywieźli ją, jak mi mówiono, przed świtem, domyśl się teraz, duszo, dokąd? Zauważyli widocznie, że kręcicie się koło domu, a dużo was jest, więc powiadają, lepiej schować dziewczynę. Tak jest, duszo, nic innego. A teraz, mądry będzie, kto ją znajdzie.

Stara zniżała i podnosiła głos, chwiejąc głową, jak nad jakąś stratą. Arnaut popatrzył przed siebie. Nie można było dojść, co myśli.

Dżerdzelesowi krew uderzyła do głowy. Ta rzeczywistość tak jasna i do wiary i tak bezpowrotnie prawdziwa, że w tym oto domu, od kilku dni już niema dziewczyny z bladą, ściągłą twarzą, a ciężkim warkoczem i bujnem, rozrośniętym ciałem (raz jeszcze widział ją kiedyś całą) wzburzyła w nim i przewróciła wszystko do dna. Wydało mu się, że w cukierni zrobiło się nagle zimno i ciemno, że baba i Arnaut są jakby w oparze krwi: odwrócił się i jak ślepy wyszedł na ulicę.

(d. c. n.)



POLSKA KREW*)

(C. Photiades: Marie Kalergis—Muchanowné Nesselrode)

Ojcem jej był zrusyfikowany Niemiec, w którego żyłach prócz krwi krzyżackich przodków płynęła również krew francuskiej żydówki, matką szlachcianka polska z rodziny dumnej i zawadjackiej, Nałęcz Górskich.

Urodziła się w Warszawie, młodość spędziła w Petersburgu, wyszła za mąż za Greka, urodzonego ze Szwedki, drugim mężem jej został Rosjanin. Mówiła czterema językami zarówno biegle, ale z trudnością wysławiała się w języku macierzystym — najczęściej może używała kosmopolitycznej mowy — francuszczyzny, choć nie lubiła Francuzów. Wydała córkę za Austriaka, a gdy myślała o swej wnuczce, marzyła aby mąż jej był zupełnym kosmopolitą.

Polacy, jak np. Ujejski, sympatycznie ją zresztą wspominając, mówili o niej: Moskiewka w rodzinie ojca, w domu polakożer czym Nesselrodów, młoda dziewczyna zwana była z pewnym przekąsem: la Polonaise, Maria Polka.

Czeka jeszcze na swego historyka pani Kalergi, mimo że tyle i tak różnorodnie pisano już o niej, należy jej się monografia polska, gdyż, bądź co bądź odegrała ona w życiu Warszawy dość znaczną rolę — co ważniejsza — była wielką miłością Norwida, choć być może nie wiedziała o tem wcale. Książka p. Photiadesa, mimo że nie wyczerpuje tematu, jest dla nas bardzo zajmująca gdyż stawia wyraźnie kwestję: jakim był stosunek Marji Kalergi secundo voto pani Muchanowej do ojczyzny matki swojej: do Polski?

Zdziwiłam się czytając niedawno recenzję z książki p. Photiadesa, w której autor, omawiając postać bohaterki, ma dla niej jedynie słowo ironji.

Zdaje mi się, że pierwszym uczuciem jakie musi obudzić w nas przeczytanie tej książki, a zwłaszcza opisu młodości hrabianki Nesselrode, musi być uczucie wielkiej litości.

W potrójnych korzeniach (tréfonds) tej młodej istoty, amalgamatu niemieckiej, rosyjskiej i polskiej rasy, polska częśćka bywała w okrutny sposób nekana, zakluwana szpilkami, wypalana powolnym ogniem, a jednak nie dała się nigdy zabić w zupełności. Biedna, burtownicza krew! Najniespodziewaniej nieraz wybuchała, uderzała

do głowy ta zuchwała krew Nałęczów Górskich i światowa dama pograżała się w otchłań rozdzierającej, rozpaczliwej melancholji.

„Z mlekiem macierzyńskim wysalała — mówi p. Photiades — awersję i pogardę dla Rosji.“

Jakim sposobem, dlaczego śliczna, miła i poetyczna Tekla Górską, została żoną niemieckiego junkra i szefa rosyjskiej policji? Autor nie wyjaśnia tej zagadki, stwierdza tylko, że biedną Polkę, w swej egzaltacji patriotycznej i religijnej, do szaleństwa doprowadziła myśl o zdradzie po dwójnej, jaką popełniła wobec swego narodu i swojej wiary. W jednym z tych napadów głębokiej melancholji i myśli o samobójstwie, biedna kobieta rzuciła poprostu swoje dziecko: śliczną, maleńką, różową i białą dziewczynkę, w ręce rodziny męża i — odeszła. Oprzytomniawszy pragnęła rozpaczliwie odebrać dziecko, ale już było za późno. Maleńka Marja dostała się do domu Kanclerza Nesselrode'go i jego żony, sztywnej, suchej damy o tyle zdaje się niemiłej wujenki, o ile kanclerz był miłym i dobrym wujaszkiem. „Wzrastając w Petersburgu, w samej cytadeli imperjalistycznej potęgi Rosji, młoda dziewczyna przeszła próbę okrutniejszą niż gdyby urągano przed nią niedoli polskiej“ mówi autor. „Ani ojciec jej, ani wuj nie brali Polski na serjo.“ Ośmieszano i zozydzano w tym domu wszelkie niepodległościowe usiłowania, a dyplomata rosyjski tłumił nielitościwą ręką w całej Europie sympatję dla Polski. Natomiast w pałacu, którego okna wychodziły na Pałac Zimowy kwitł kult dla rodziny Romanowów i umysł dziecka przesiąkał nim bezwiednie.

Od czasów Kopciuszka znane to dzieje, jak w rodzinie, gdzie są córki, traktuje się ubogą krewną gaszącą swe kuzynki przez olśniewającą piękność. Taki był los Marji odkąd ciotka spostrzegła, że „no-

tre grande perche, Maria Polka“ z „tyczki“ niezgrabnego podlotka staje się cudowną „syreną“ i „śnieżnobiałą czarodziejką“, jak ją zwie sam wuj kanclerz i za którą szaleć zaczynają młodzi i starzy. W dodatku jej wybitny talent muzyczny rozwija się szybko. Raz gdy hrabianki kanclerzówny na popisie muzycznym zrobiły fiasco, tak, że starsza nie mogła łąz powstrzymać, Marja spokojna, jakby u siebie w pokoju, wykonała koncert Thalberga z taką brawurą, że odniosła triumf, a ciotka westchnęła z goryczą: La Polonaise n'a pas peur!

„Mając lat szesnaście, Marja miała już tak do syta „słodczy rodzinny pożycia“, że zgodziłaby się na nie wiem, jaką katastrofę, byle ona przyniosła zmianę w jej sytuacji, byle nie być na łasce rodziny.“ Tak więc, gdy zjawił się konkurent, brzydki, śmieszny, ale pocziwy i bezinteresowny pan Jan Kalergis, i pupilka i opiekunowie byli zadowoleni. Marja Nesselrode, została panią Kalergis. „Para ta — mówi Photiades — była experymentem etnograficznym pierwszorzędnym: wchodziła tu w grę Rosja, — Niemcy, Polska, Grecja a nawet Szwecja.“ Eksperyment nie udał się.

Za dziesięć miesięcy, zanim jeszcze przyszła na świat córeczka, Marja wróciła do Petersburga; za zdrość, brutalność męża, niepodobieństwo porozumienia się dwóch zupełnie odmiennych charakterów sprowadziły separację. Próby pogodzenia się nie doprowadziły do niczego, oboje młodzi ludzie mężczyli się i wreszcie — rozstali.

W siedemnastu latach, cudownie piękna młoda kobieta została sama. Mąż, dobry w gruncie człowiek zapewnił jej przynajmniej wysoką rentę. „Il lui assure un beau sort — konkluduje filozoficznie hrabina wujenka — „Mais á dixsept ans, cela ne suffit pas“.

Niebawem jeden z „lwów“ petersburskich, Demidow, ubiega się o serce i rękę pięknej kobiety, lecz rozwód natrafia na nieprzewycięzione przeszkody i romans kończy się na niczem. Ale chcąc usunąć Marję z Warszawy, w roku 1844 ojciec i wuj wyprawiają ją za granicę. Na myśl im nie przychodzi niebezpieczeństwo. „Marja nie zdradzała zainteresowania się polityką i nikt się nawet nie domyślał

*) Pobyt w Warszawie hr. Coudenhove-Kalergi, propagującego w pięknych swych prelekcjach szlachetną choć może, niestety, utopiijną ideę pacyfizmu, zwraca uwagę na tak słynną niegdyś w Warszawie postać jego babki, o której mówi książka francuska, napisana przez p. Konstantyna Photiadesa, niedawno wydana w Paryżu, a znana niektórym czytelnikom polskim już z Revue de Paris.

jakiejby mogły być barwy jej zapatrywania."

"Jako mentorka jej, pojechała córka generała polskiego, zabitego przez rewolucjonistów listopadowych za wierność carowi, osoba rozsądna, wychowana w zaciszu wiejskim na Litwie, brzydka „par excellence" a przez to, sądziłem niedostępna egzaltacji — pisze ojciec Marji, Fryderyk, do kanclerza.

"Cóż się dzieje! po półtora roku wracają jak warjatki Tamta, mniej jeszcze, ale moja córka powiadam ci warjatka, folle á lier, bardziej polska jak stary teleweł, plus catolique que le Pape! — Oto rezultat zagranicy!"

Kto temu winien? — „Zażarci emigranci, „les plus enragés", jak Władysław Zamoyski, księżna Wirtemberska, księża rewolucjonści: Semeneńko Jełowicki.

Ci nakarmili ją „najokropniejszymi potwarzami" przeciw Rosji. „Marja widzi wszędzie prześladowanie kościoła, gdy nikt nie myśli o tem.

— „Przecież gdyby tak było, to jabym coś o tem wiedział" — dodaje naiwnie hrabia Fryderyk Nesselode.

Polskie sympatje młodej pani nietylko, że irytowały rodzinę, ale mogły mieć dla niej fatalne skutki. O awanturach „Comtesse Calergghi" pisano w gazetach francuskich, krążyły legendy o usługach, oddawanych przez nią ściganym rewolucjonistom. Wobec tego oznajmiono niewygodnej kuzynce, że lepiej, aby na razie nie powracała na terytorjum rosyjskie..

* * *

Entuzjazm Marji Kalergi zgasł dziwnie prędko. W r. 1849 chwali ją wujanka kanclerzowa: „Marja dojrzała i myśli logicznie". Sama powiedziała, że bałaby się teraz odrodzenia Polski „parce que la nation est toute demagogique". Zdaje się, że rewolucja lutowa, którą przeżyła w Paryżu, przeziła ją tak, jak przeraziła Krasińskiego. To znów, co się działo w zaborze austriackim wzbudziło w niej myśl tę samą, którą głosił Wielopolski, że Polska nie ma innej przyszłości, jak oparcie o potęgę Rosji.

Tem marzeniem próbowała ułagodzić rozterkę swej „trójnardo-

wej" duszy. Piękność jej i talent muzyczny uczyniły ją królową salonów, przyjaciółką monarchów i genjuszów. W polityce była jednak naiwną marzycielką, której zdawało się, że może pogodzić ogień z wodą.

Ere Wielopolskiego, pochlebiającego krajowi rządu wielkiego księcia Konstantego, różnego zachowaniem od swego brutalnego stryja imiennika, powitała z entuzjazmem.

Posępny margrabia i olśniewająca kobieta upierali się zarówno, by iść przeciw prądowi.

„Rosjanka w Warszawie, Polka w Petersburgu, liberalna wobec ciemnych, admiratorka samowładztwa wobec rebeljantów a z tem wszystkie dobra i łagodna, brzydząca się walką i rozlewem krwi; ta dziwna kobieta „lwią odwagę" wkłada w niewdzięczną pracę ugodową, wzbrania się nosić żałoby narodowej i jasna jej suknia świeci urągliwie wśród czerni kobiet polskich. A po nocach płacze boleśnie, odczuwając profanacje świątyń duszą głęboko religijną.

Mimo całej swej popularności pari Kalergi uczuła się w latach 61-3 zupełnie samotną w Warszawie i z rozpacz zaczęła studjować Szopenhauera.

Czy z rozpacz również uczyniła najdziwniejszy krok w swem życiu?

Mąż jej umarł w Londynie. córka wyszła za mąż za hr. Coudenhove, Austriaka. Swobody swej użyła ta „pół krwi Polka", na to, aby w chwili najgorętszego wybuchu walki dwóch narodów, w sierpniu 1863 roku wyjść za mąż za p. Muchanowa, pułkownika rosyjskiego, a co gorzej — podkreśla p. Photiades — naczelnika policji w Warszawie!

Podobno nawet bez miłości, tylko wzruszona jego wiernem przywiązaniem.

Był to gentleman i w stosunku do Polski o ile to możliwe, życzliwy, choć nosił imię znieprawione.

Opuścił stanowisko swe wraz z odejściem ks. Konstantego i zároveň z żoną, złożył „fałszywemu Niemcowi" Bergowi.

A jednak, gdy gazety zagraniczne zaczęły opisywać jaskrawie wszystkie okropności, dziejące się w Polsce, powtórzyła się tragedia Tekli z Górskich Nesselrodowej,

Marja Muchanowowa wpadła w melancholję, potem prawie w obłęd.

„...Wyrzucała sobie, że poślubiła Rosjanina, pisał jej ojciec — krew polska, która płynie w jej żyłach zaczęła burzyć się żywiej niż kiedykolwiek... Noc i dzień przepędzała we łzach..

„Diese abscheuliche polnische Revolution — konkluduje hr. Fryderyk Nesselrode, — biedna Marie jest jedną z jej ofiar!"

Gdy wyzdrowiawszy wróciła do ujarzmionej Warszawy, nowy przewrót w jej światopoglądzie. Ta harda dusza, która „lubi zuchwałość wobec władców i despotów", a „najgłębszy ukłon oddaje nieszczęściu", nie może znieść widoku miasta, gdzie spotyka ze strony rosyjskiej „brutalną niesprawiedliwość", ze strony polskiej nietylko wymuszone adresy, ale i niewymuszone zabawy.

„Tańczył tańczą w Warszawie, nazajutrz po rewolucji, gdy cytadela jest pełna skazańców, a kraj pogrążony w niesłychanem cierpieniu". „Les gens rient... les femmes minaudent, nul ne pense a l'année 1863."

„Czuję nienawiść do ciemnych, a uciemiężeni niesmak we mnie budzą."

* * *

„Biała czarodziejka, la fée blanche, uwielbiana przez Heinego i Gautiera, zdołała sobie wywalczyć wyjątkowe zupełnie stanowisko w świecie, zapewnić szczęście ukochanej córce, stać się do brodziejką i opiekunką artystów i szarej nędzy, a jednego wywalczyć nie zdołała sobie — szczęścia.

„Przeraża mnie myśl, że Ery (wnuk Henryk) jest do mnie podobny, a serce moje bolesne tylko ma struny."

W trójgłosie krwi, zmieszanej w jej żyłach, płakała do ostatka buntownicza krew polska. Gdy gasła, w dobie największej beznadziejności polskiej sprawy, smutna dusza, której stary lew romantyzmu, Liszt, żalobną kołysankę śpiewał, pocieszała ją jedynie głęboka wiara:

„Wyroki Boskie są tajemnicze i nieodgadnione, a sprawiedliwość objawia się na każdej kartce dziejów, Nasz wzrok zbyt krótki jest, by wyroki te przeniknąć."

K. Bielańska



JASZKA AMAZONKA XX WIEKU

W latach 1917, 18 i 19 prasa francuska, angielska, amerykańska pełna była wzmianek o chłopce rosyjskiej, która od chwili wybuchu wojny biła się w szeregach żołnierzy, odznaczona mnóstwem orderów, a w końcu sarżą kapitana za niezwykle męstwo i bezgraniczne poświęcenie, z jakim — po całych dniach boju — nocą — pod gradem kul zbierała ranionych towarzyszy — nieustraszona, pełna przeświadczenia o jakiejś misji z nieba, o nakazie walki do ostatniej kropli krwi za ojczyznę swoją aż do decydującego zwycięstwa.

„Joanną d'Arc“ nazwał ją publicysta francuski Jolibart, a za nim — pani Pankhurst, słynna sufrażystka angielska, która przyjechała do Petersburga, żeby poznać tę niezwykłą bojownicę.

Gdy zaczęły targać Rosję pierwsze wstrząsy bolszewizmu, — gdy wojsko, podszczuwane przez agitatorów, zamiast bić się, wiewcowało i tworzyło Komitety Rad żołnierskich, które przekreślały władzę oficerów i dowódców; gdy ustała wszelka dyscyplina i karność, a zaczęło się bratanie z nieprzyjacielem w okopach, gdzie pełno było piwa i wódki; gdy ster wypadł z rąk rządu i Kiereński, jeszcze do niedawna bóstwo narodu, trzymając się za głowę, trupio blady z czerwonymi od bezsensowności oczyma — wołał bez końca; „Giniemy!... Niema ratunku!“... Marja Boczkarewa, zwana w wojsku „Jaszka“ od imienia drugiego swego męża powzięła myśl zuchwałą. Stworzy Bataljon śmierci kobiecej.

Pójdzie z nim na front, stanie w pierwszych szeregach armji i pociągnie za sobą do walki tych wiecujących, tych trucizną defetyzmu przeżartych, tych — dla których jedyną racją bytu na terenie wojny były spacerki do wrogich okopów i opijanie się wódką, szczerze podsuwaną.

Zbudzi duszę w wojsku, wyrwie naród z odmetów.

Zjednywa dla planów swoich Rodziankę prezesa Dumy, który ściąga ją do Petersburga. Jeneralcja w porozumieniu z Kiereńskim zwołuje wiec agitacyjny. Jaszka przemawia. Wrażenie potężne, 2000 kobiet zapisuje się do Bataljonu. Boczkarewa żąda od nich bezwzględnie posłuszeństwa i zapowiada surową dyscyplinę.

Ale Rosję przeżera już nawskroś bolszewizm. Agitatorzy jeden po drugim wskakują na trybunę, wołając:

— Żądajcie Komitetu Rad żołnierskich!!! Minęły czasy dyktatury oficerskiej. Carat runął. Jesteście wolne same sobą tylko macie prawo rządzić: wybierzcie z pośród siebie Komitet i wtedy idźcie na front. Co za obowiązek słuchać, „baby“ która — ma pełne piersi orderów, a więc — schlebia dawnemu rządowi...

Z tłumu dwutysięcznego zostaje przy kapralu Boczkarewej tylko 300, ale te składają jej przysięgę na posłuszeństwo i wierność bezgraniczną, na to że nie uznają Komitetów i nigdy nie pójdą za podszeptami agitatorów.

Przychodzą dni wielkie w życiu Jaszki 25 czerwca 1917 r. odbywa się nabożeństwo w katedrze św. Izaaka w Petersburgu*). Cerkiew nabita. Dwóch biskupów, 12 popów, Najwybitniejsi przedstawiciele rządu z Kiereńskim, Rodzianką, Milukowem, Kornilowem na czele. Poświęcenie sztandaru Bataljonu śmierci z wyhaftowanym na proporcu imieniem i nazwiskiem Boczkarewej, co było niepraktykowanym dotąd wyróżnieniem. Przedstawiciele I i III armji wręczają jej ikonę jako wybawicielce Rosji. Jenerał Kornilow w imieniu całego wojska składa jej w ofierze rewolwer i szablę ze złotą rękojeścią. Kiereński przypina naramienniki z szarżą porucznika, całując ją zwyczajem rosyjskim w oba policzki. Życzenia i pocałunki wielkich dostojników, żołnierze rozentuzjzmowani chwytają ją na ramiona i niosą po nad tłumem. Kobiety torują sobie drogę po przez zwarte masy ludu, aby okryć pocałunkami jej ręce. Mówcy wskazują na zaimprovizowane katedry, rozwożdżając się nad przyszłą ofensywą Bataljonu śmierci i kończąc okrzykiem: „Niech żyje Boczkarewa!“

29 czerwca wyjazd na front. W katedrze Kazańskiej znowu błogosławieństwo biskupów i entuzjazm tłumów, które przeprowadzają Bataljon na kolej. Podróż na front jeden triumf. Ale już w Mołodocznie pierwsze tragiczne starcie z bolszewikami. Banda obdarta napada na koszary Bataljonu. Całą noc trwa oblężenie. O świcie Jaszka staje przed tłumem sama — bez broni — i krzyczy.

— Jak wam nie wstyd zatruwać spokój kobiet, pomiędzy króremi

jest może siostra lub krewna nie jednego z was. Zabijcie wy mnie natychmiast, albo rozejdźcie się!...

Odrzuciła płaszcz, nadstawiając pierś i czekając.

Banda rozchodzi się w milczeniu i zawstyżeniu, a w godzinę później część wraca, deklarując przyłączenie się do bataljonu wśród głośniejszych okrzyków: „Hurra! Niech żyje Jaszka!... Niech żyje Boczkarewa!...“

Nadeszła chwila zdecydowanego czynu. Wieczorem 7 lipca Bataljon otrzymuje 8 kulomiotów i wóz amunicji. Jen Wałujew, dowódca X armji, wydaje rozkaz, aby cały korpus wyszedł z okopów nazajutrz o 3 z rana. Bataljon zajął sekcję frontową, otoczony z dwóch stron innymi oddziałami.

Noc przechodzi w silnym wzruszeniu. Gdy wydzwoniła 3 g. pułkownik daje znak ruszenia do ataku, ale z prawej i lewej strony wojsko ani drgnęło. Żołnierze rozprawiają, czy należy słuchać rozkazów dowódcy i czy wogóle atak jest potrzebny? —

— Po co się bić? — Po co umierać. Rozsądniej daleko stać w miejscu...

Słońce wstało. Rozsnuły się mgły poranne, a rozprawom jeszcze nie było końca.

Piąta wybiła, później szósta, siódma. Artylerja otrzymała rozkaz nieustannego bombardowania. Cały dzień trwały rozmowy. Słońce chyliło się ku zachodowi. 75 oficerów i 300 co najdzielniejszych żołnierzy pod wodzą pułk. Iwanowa zgłosiło przyłączenie się do Bataljonu śmierci, żeby podjąć atak. Dowództwo objął pułk. Iwanow, który zatelefonował do głównej kwatery o powziętem postanowieniu.

Pod gwałtownym ogniem kulomiotów, wśród drwin żołnierzy rozstawionych na flankach, wyruszone z okopów. Bataljon maszerował dzielnie. Co chwila ktoś padał, ale z furją podchodzono — garstka około 1000 ludzi — do terenów nieprzyjacielskich coraz bliżej, coraz bliżej. Nagle szum, wrzawa za nimi, jak gdyby porwał się i rozszalał gwałtowny orkan. To ruszyli z miejsca oporni — jedna, druga, trzecia grupa, aż szal ogarnął cały korpus.

Zmieciono pierwszą linię Niemców, potem drugą. Wzięto 2000 wroga w niewolę.

Ale w drugiej linii okopów czekała zasadzka — piwo i wódka, podrzucone w obfitości. Połowa wojska rzuciła się nie na drapieżnię i padła pijana.

*) Chwila ta została opisana i zilustrowana w prasie angielskiej i francuskiej.

Gdyby nie kobiety, które na rozkaz Jaszki zniszczyły zapasy, cały pułk byłby zwalił się, jak jedna kłoda.

Niemcy nagle zorganizowali kontratak. Chwila była krytyczna, ale wzięto nieprzyjaciela na bagnety i jak zwykle w takich razach, uciekł w popłochu.

Zmieciono trzecią linię, odpędzwszy wroga aż do pobliskiego lasu. A wtedy przyszedł rozkaz telefoniczny ścigania Niemców bez wytchnienia, żeby nie mieli czasu okopać się w lesie. Obiecano przytem natychmiast posiłki.

Switało już. Wróg ukryty za drzewami, mógł śledzić wszystkie ruchy wojska rosyjskiego, sam niewidziany. Nagle rozgrzmiał ogień tak gwałtowny, że większość żołnierzy, przed chwilą zwycięskich zaczęła uciekać w panice. Zostało tylko 800 — w tem 250 kobiet (50 zabitych).

Zawiadomione o grozie położenia główne dowództwo kazało czekać do 3 g. przyrzekając pomoc IX korpusu.

Przyszła 3 g. Wróg atakował. Posiłki nie nadchodziły, a trupy leżały pokotem i coraz walili się ranni.

Z każdą chwilą rosła groza położenia. Znowu zatelefonowano do kwatery głównej. Odpowiedź nie do wiary:

— IX korpus odbywa wiec, żeby rozstrzygnąć, czy należy lub nie iść do ataku?

Nagle Jaszka pada, rażona wybuchem granatu. Podnosi ją por. Filipow i wśród huku armat odstawia bezwładną na stronę rosyjską.

Meeting IX korpusu trwa. Niemcy już bez oporu zajmują jedną straconą pozycję po drugiej.

Kontuzjowaną Jazkę przewieziono do Petersburga i umieszczono w szpitalu, gdzie ze wspianym bukietem odwiedza ją Kiereński.

Sława Marji Boczkarew rozchodzi się po całej Rosji. Zaraz po wyzdrowieniu zostaje zaproszona do Moskwy dla odbycia przeglądu miejscowego bataljonu kobiecego, który powstał na wzór jej oddziału.

Jakież było jej zdziwienie, gdy stanęła przed grupą 1500 żołnierek wymalowanych w modnych trzewikach i pończochach o postawie niedbałej — wszystkie jak prostytutki, a obok nich rozzuchwaleni, swawolni żołdaci: Gdy zaprotestowała przeciw tego rodzaju formacji, której podobne potworzyły się zresztą w całym państwie rosyjskiem, — powstało niesłychane oburzenie. Rzucono się na nią z pięściami i stekiem — prze-

kleństw. Jakiś drab chwycił ją za nogę i cisnął na ziemię. Inny kopnął butem w plecy. Była już bez tchu prawie, gdy na wezwanie któregoś z oficerów zjawił się generał Wierzchowski, bardzo lubiany przez wojsko i uciszył rozszalałą zgraję.

Wkrótce, potem Jaszka wraca na front: W Mołodiecznie jen. Wajłow mianuje ją kapitanem. Bataljon stacza jeszcze jakieś drobne walki, ale w trakcie tego Kiereński upada i bolszewizm zwycięża na całej linii. Krwawe orgje szaleją. Nic już nie zdoła powstrzymać rozkładu państwa. Na marne idą wysiłki jednostek. Kończy się bohaterki czyn kobiet. Bataljon zostaje rozwiązany, broń odebrana. Żołnierki partjami wracają do rodzin swoich. Kapitan Boczkarewa, jako nie uznająca komitetów, a więc — posądzona o sprzyjanie dawnemu rządowi zostaje aresztowana i postawiona przed oblicze Lenina i Trockiego, którzy ją namawiają, aby przystała do nich. Odrzuca jednak tę propozycję i prosi tylko o swobodę. Otrzymuje ją z rąk carów czerwonych i wyjeżdża do Tomsku. Po drodze jednak zostaje znowu aresztowana i skazana na śmierć.

Wówczas zachodzi rzecz dziwna. Ta nieustraszona bojownica na polu walki drży, płacze, kruszy się i łamie wobec wyroku śmierci.

Na polu masakrów, zawałonom stosami ciał nieopogrzebanych, cuchnących na milę, ustawiono w jednym szeregu, 20 skazańców, odartych ze zwierzchniej odzieży którą zabrali siepacze bolszewicy. Sami oficerowie i jakiś stary

**) Marja Botchkarewa „Jaszka“ *Ma vie de paysanne, d'exilée, de soldat.* Traduit d'après la redaction anglaise d'Isaac Don Levine par Michel Prevost. Paris. Librairie Plon.



generał — wszyscy spokojni, hardzi.

Gdy Jaszka, targana bólem, przerażeniem rozpaczą ukłękła, modląc się i płacząc, ryknęli śmiechem zbiry bolszewickie.

Stary generał pochylił się, wówczas nad struchlałą kobietą, zaklinając, aby ginęła mężnie, jak wszyscy.

Cud ocalił ją tym razem, jak po tylekroć przedtem. W łonie komitetu wykonawczego, po którego nadejściu dopiero miano dać salwę do skazańców — znaleźli się żołnierze, którym Boczkarewa uratowała życie, unosząc ich z pola bitwy, gdy byli ranni. Ci zażądali uwolnienia jej wobec braku dowodów, aby popełniła jakiegokolwiek przestępstwo względem bolszewizmu.

Po ocaleniu swoim żyła Boczkarewa jedną już tylko myślą — wyjazdu do Ameryki, aby tam zdobyć pomoc aljantów dla dalszej walki z Niemcami.

Więziona jeszcze, męczona, trzymana o głodzie w ciągu kilku tygodni, zbiedzona dociera nareszcie do Władywostoku, gdzie [dzięki pomocy konsula angielskiego — mimo czujności śledzących ją władz bolszewickich, dostaje się na okręt amerykański Sheridan i odplywa dnia 18 kwietnia 1918 r.

Na obcym lądzie, powitana, salwą artykułów całej prasy, staje się sensacją dnia. Dwie wybitne feministki — Ludwika Bryand i Ryda Dorz — przeprowadzają ankietę w sprawie Bataljonu śmierci, a wyniki jej potwierdzają najzupełniej ścisłość opowiadania Jaszki

Zjawia się uchodźca rosyjski, żyd Izaak don Lewin, który był w stosunkach dyplomatycznych z Anglią, dostarczywszy jej dokumentów z okresu rządów carskich i proponuje Marji Boczkarew spisanie jej pamiętnika. Analfabetka, dyktuje mu przygody swoje od chwili najwcześniejszego dzieciństwa, zdmiewając pomięcią swoją w ujęciu kolei faktów.

Pamiętnik, zawierający 4000 stron bardzo drobnego druku, pisany jest snadź ściśle według opowiadania analfabetki. Michał Prevost, który przetłumaczył go na francuski z oryginału angielskiego, stwierdził że grozą scen, obrazami udźczeń i przygód przewyższa wszystko co było pisane o życiu rosyjskiem i o wojnie w kraju szalejącego bolszewizmu**).

Do prasy naszej nie przedostały się dotąd echa tej ciekawej książki U Marji Boczkarew wiemy bardzo mało, albo nic prawie. C. W.

ALEKSANDER KRAUSHAR

Młode lata Księcia Adama Czartoryskiego

(1776 — 1805)

Po trzymiesięcznym pobycie w Puławach księżęta Czartoryscy wrócili do stolicy, lecz już bez Górskiego, który tknięty apopleksją zakończył życie.

W końcu jesieni dwór wrócił z Gątczyny do Petersburga, aby tam spędzić zimę 1797 roku.

„Król Stanisław August — pisze ks. Adam — wróciwszy z Moskwy zamieszkał w pałacu Marmurowym i prowadził swój żywot zbytkownie, kosztem rządu. Znajdowali się przy nim siostrzenica, hrabina Mniszcz z mężem.

„Miał on swoich szambelanów, między innymi i Trembeckiego, znanego poetę. Obowiązki marszałka dworu pełnił czasowo pułkownik Wicki, były kapitan gwardji litewskiej, wierny przyjaciel mojej rodziny i doktor Bekler, który mi w dzieciństwie uratował życie. Często wizytowaliśmy króla, który nas łaskawie przyjmował. Widywałem go nieraz o rannych godzinach, gdy nieuczestany, w szlafroku, spisywał swoje pamiętniki. Nie mogłem nigdy dojść, co się z owymi pamiętnikami, które miały być dosyć obszerne, stało; zebrałem tylko pierwszy ich tom, obejmujący posestwo do Rosji za Augusta III; tomy dalsze, większej wagi, tak schowano, że ich śladu odnaleść nie mógł.

— Nieszczęśliwy król zdawał mi się dość obojętnie przyjmować swoje położenie. Starał się on być uprzejmym dla tych, którzy go detronizowali. Uprzedzał kapryśnie usposobienie imperatora, który dosyć często z rodziną przybywał doń na obiad. Stół jego był wykwintnym i doskonale obsługiwanym, dzięki zręczności słynnego Tremeaù, który sam już tylko przypominał mu przeszłość. Król ze swoją świtą, zajęty był właśnie urządzaniem rozrywek, jakie chciał ofiarować ich cesarskim gościom na przygotowującym się wieczorze, gdy nagle tknięty został apopleksją 2 lutego 1798 r. Wieść ta na tychmiast rozniosła się po mieście. Przybiegliśmy do Marmurowego pałacu. Doktor Besler upuścił choremu krwi, lecz nadaremnie. Położono króla na łożo bezprzytomnego. Świta jego płacząc otaczała konającego. Trembecki zrobił giest rozpaczliwy i uciekł do swego pokoju. Przybył cesarz z rodziną.

Baciarelli odmalował tę smutną scenę z talentem. Król umarł. Pogrzebiono go z wielkimi honorami w kościele katolickim w Petersburgu.

„Stanisław August był opłakiwanym tylko przez tych, których egzystencja od jego losu zawiśłą była. On sam nie miał powodu żałować życia. Przygoda jego żywota i zachowania się jego były tego rodzaju, że nie widziano w nim przedstawiciela naszej ojczyzny. Był nim tylko Kościuszko. Zgon króla w niczem nie wpływał na dalsze losy kraju. Byli ludzie, którzy z uwagi na kłopoty i wydatki, przyczyniane skarbowi carskiemu, sądzą, że z racji stanu ułatwiono królowi zgon. Okoliczności wszakże, towarzyszące chorobie, nie stwierdzają tych domysłów, które, nieszczęściem dla kraju, pojawiają się zwykle przy zgonie wybitniejszych osobistości“.

W podróży, jaką cesarz Paweł podjął celem nawiedzenia części swego państwa, towarzyszył księżę Adam. Obejrzano w niej kanał, łączący Wołgę z Newą, t. j. morze Kaspijskie z Bałtykiem, Twer, Moskwę, Niżny Nowogród i Kazań. Resztę lata spędzono w Pawłowsku, a na jesieni dwór przeniósł się do Gątczyny. Zamek Gątczyński złożony z wielu rozległych dziedzińców, otoczonych budynkami, ostatnio zwiększonymi, miał wygląd więzienia. Położonym był na płaszczynie, bez wzgórz, drzew i łąk, Upiększenia, wprowadzone do parku miały wygląd posepny; słońce rzadko tu się ukazywało i to bardzo krótko, nic tu nie zachęcało do przechadzek, z powodu nieustannego deszczu i zimna. Rano odbywały się parady, wieczorem przedstawienie francuskie lub włoskie przerywało nudy tych, co zmuszeni byli tu zamieszkiwać“.

Wkrótce potem bracia Czartoryscy rozstali się. Konstanty za zezwoleniem cesarza Pawła, który początkowo srodze się o to rozgniewał, udał się do rodziców do Galicji, księżę Adam pozostał przy dworze cesarskim. Pobyt tu nie był długotrwałym, gdyż niespodziewanie cesarz rozkazał księciu Adamowi objąć poselstwo przy królu Sardyńskim.

Wrażenia z podróży do Włoch i pobytu w miastach Italji, Florencji, Rzymie i Neapolu wypeł-

nają sporą część pamiętników. Trafne uwagi, poetycki polot i niezwykła erudycja zdadzają w tych opisach umysł wyższy, zasilany naukami i tradycjami klasycyzmami. Na tle tych wspomnień naszkicowanym jest obraz ówczesnego politycznego stanu Europy, pojawienie się Bonapartego na scenie wypadków dziejowych i czyny wojenne Suworowa we Włoszech. Wśród rczkosznych wrażeń włoskiej natury i obcowania z artystycznym i dyplomatycznym światem nadeszła wiadomość o spisku na życie cesarza Pawła uknutym, o tragicznej jego śmierci i o wstąpieniu na tron Alexandra I. Wraz z tą wiadomością nadszedł list monarchy, wzywający Czartoryskiego do Petersburga

— Opinie i uczucia Alexandra — pisze ks. Adam — które mnie zachwycaly u wielkiego księcia, nie zmieniły się, lecz z chwilą objęcia władzy absolutnej — musiały się przeistoczyć. Tkwiły one jednak w głębi jego serca. Były one przez szereg lat długich rodzajem namiętności tajonych, których się nie zwierza przed światem, niezdołnym do ich zrozumienia, lecz które nie przestają nami władać i pociągają nas przy nadarzonej sposobności.

„Nie było więcej mowy o dawnych liberalnych mrzonkach.

Już mi cesarz nie wspominał o piśmie z rozkazu jego przeżemnie zredagowanem, które z taką radością powitał. A jednak zajmował się gorliwie tem wszystkim, co się odnosiło do sprawiedliwości, emancypacji ludu, do reform słusznych. Pojął on, jak niezwalczone trudności napotkałyby musiały najelementarniejsze nawet reformy, lecz starał się przekonać najzaufańszych, że uczucia z jakimi się przed nimi zwierzał, zawsze były jednakimi“.

W spełnieniu tych młodzieńczych obietnic postanowił cesarz okazać łaskawość i względy rodakom księcia Adama. Wielu wygnańców otrzymało wolność, skonfiskowane dobra przywrócono im, bądź w naturze, bądź w drodze kompensaty pieniężnej. Emigranci polscy otrzymali pozwolenie powrotu do kraju. Zajął się cesarz losem jeńców polskich, trzymanych w fortcach austrijackich, Kołłątaj i Ogiński uwolnieni zostali z więzienia. Cza-

sy prześladowań, ucisku, procesów i grabieży minejły.

Utworzonymi zostały po raz pierwszy w Rosji ministerja: we wewnętrznych spraw i policji, finansów, sprawiedliwości dotychczas połączone w osobie prokuratora jeneralnego senatu, ministerjum wychowania publicznego, handlu i spraw zagranicznych, marynarki i wojny. Wszystko zaś, co dotyczyło armji, aż do najniższej nominacji miało, nadal wychodzić od cesarza, jego woli osobistej, o czem armja winna wiedzieć. Wszelkie ukazy miały być odtąd kontrasygnowane przez jednego z ministrów. Tym sposobem chciano wprowadzić zasadę ich odpowiedzialności.

„Pomiędzy młodymi ludźmi otaczającymi cesarza — pisze ks. Adam — ja jeden tylko byłem bez urzędu. Alexander ofiarował mi posadę towarzysza ministra spraw zagranicznych. Hrabia Woroncowa na to się zgodził, wszyscy moi przyjaciele, a nadewszystko cesarz zachęcali mnie do przyjęcia tej godności. Wahałem się czas długi, wiedząc, jak Rosjanie dziwił się będą tej nominacji i jak z niej będą niezadowoleni.

„Sądził cesarz, że nominacja taka nie zadziwi nikogo. Oświadczyłem na to cesarzowi, że lepiej zna niż ktobądź inny uczucia moje względem ojczyzny, że one nie zmieniają się nigdy, i że obawiam się, aby uczucia te nie stanęły w sprzeczności z obowiązkami urzędu, jaki mi powierzyć pragnie i że tem samem lepiej będzie i stosowniej, abym godności tej nie przyjmował.

„Na to odrzekł cesarz, że nie widzi, jak dotąd, żadnej sprzeczności między uczuciami moimi a obowiązkiem, a jeżeli ta kiedykolwiek nastąpi, będę miał możność usunięcia się, że zresztą przewiduje okoliczności odmienne, bardziej moim uczuciom odpowiednie. Dodał jeszcze cesarz wiele wyrażań pochlebnych, mówił o obowiązkach względem ludzkości, o talencie, którego zaniedbywać nie należy tam, gdzie mógłby się okazać użytecznym. Bronilem się długo — wreszcie uległem.

W nagrodę ofiarował cesarz księciu Adamowi kuratorstwo szkół w ośmiu guberniach polskich.

Utworzenie ministerjum oświaty publicznej było dla Rosji urzędową i obfitą w błogie następstwa reformą.

Utworzono uniwersytety w Dorpacie, w Petersburgu, Charkowie i Kazaniu.

Uniwersytet Wileński był czysto polski i cały obszar dawnej Rzpli.

tej pod rządy Rosji podpadły, zaludnił się szkołami, w których młodzież swobodnie rozwijać się mogła.

Hrabia Seweryn Potocki został kuratorem uniwersytetu w Charkowie. Ministrem oświaty został hr. Zawadowski. Dążeniom światłego ministra poświęca pamiętnik chlubne wspomnienie.

Lata 1804 i 1805 i przygotowania do wielkiej epopei wojennej. Jaka za przewodem Napoleona niebawem rozegrać się miała w Europie, stanowią treść ostatnich rozdziałów pamiętnika. Powtarzają one szczególnie znane z historii, lecz do charakterystyki księcia Adama nie dorzucają materiału nowego. Zdobia je sylwetki osobistości znanych skreślone barwnie, żywo, z naturalnością i wdziękiem właściwym stylowi pamiętnikarza. Na nich urywa się ciąg dziejowy pamiętników tomu I-go. Tom drugi zawiera korespondencje dyplomatyczną i cenną wymianę listów między księciem Adamem a cesarzem Aleksandrem.

Koniec.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU.



W KAPELUSZU, CZY BEZ KAPELUSZA?

Parlament angielski stał się niedawno widownią niezwykłego zajścia. Oto, gdy posłanka z Labour Party p. Wilkinson podczas obrad powstała ze swego miejsca, chcąc zabrać głos w dyskusji, jeden z posłów zwrócił się do marszałka z zapytaniem, czy pani ta ma prawo przemawiać wobec posłów i przedstawicieli rządu — z odkrytą głową? Na ławach poselskich wszczął się hałas — jedni domagali się, aby pani Wilkinson przez uszanowanie dla Wysokiej Izby włożyła kapelusz, inni występowali z oburzeniem przeciwko tym żądaniom. Oryginalną tę dyskusję przerwał marszałek, wyjaśniając, że pierwotne zarządzenie, przepisujące kobietom znajdowanie się na sali obrad w kapeluszach, zostało cofnięte i że pani Wilkinson ma najzupełniejsze prawo przemawiać bez kapelusza — zależnie od swego uznania.

POLSKA DZIEWCZYNA BOHATERKĄ.

Pisma amerykańskie zamieszczają pod powyższym tytułem wiadomość o niezwykle bohaterskim czynie jedenastoletniej dziewczynki, córki polskiego emigranta Wikci Futówny. W mieszkaniu sąsiednim, zajmowanem również przez polską rodzinę robotniczą, pozostawieni bez dozoru dwaj malcy, 3 i 5-cio letni Jaś i Karolek Śmięgielscy, przez nieostrożność wznieśli pożar. Na krzyk dzieci wbiegła do mieszkania Futówna i pomimo, że cała izdebka stała już w płomieniach, odważna dziewczynka chwyciła bez wahania jednego z malców na ręce i zbiegła z nim po schodach na dół.

Nie tracąc chwili czasu, wróciła natychmiast po drugiego i w ten sposób ocaliła obu, a potem zdążyła jeszcze zawiadomić straż ogniową, która przybyła i zapobiegła dalszemu szerzeniu się pożaru.

„UMIE DOCHOWAĆ TAJEMNICY“

Premjer angielski Baldwin, mianował swym sekretarzem pannę Edith Watson, długoletnią urzędniczkę państwową, która już przez czas dłuższy zajmowała różne stanowiska zaufania w instytucjach rządowych. Na zapytanie, dlaczego obrał sobie na sekretarza kobietę, premjer miał odpowiedzieć: „Bo wiem, że potrafi dochować tajemnicy.“

CZY RÓWNOUPRAWNIENIE PRZYNOSI SZCZĘŚCIE?

Jedno z pism szwedzkich ogłosiło ankietę na temat powyższy, chcąc się przekonać, jaki wpływ wywarło równouprawnienie na życie rodzinne kobiety. Pomiędzy całym szeregiem odpowiedzi, jakie napłynęły na tę ankietę, najciekawszymi bezwątpienia są zdania wybitnych działaczek społecznych, artystek, uczonych i t. d. Wszystkie one naogół stwierdzają dobroczynny wpływ równouprawnienia na stosunki rodzinne, małżeńskie i t. d. Powieściopisarka Anna Engeströmi twierdzi, że od czasu nadania kobietom równych praw politycznych, małżeństwa są zgodniejsze i szczęśliwsze, gdyż kobieta staje się świadomą obywatelką państwa, wzrasta w niej poczucie godności ludzkiej oraz należyte zrozumienie swych obowiązków, zarówno w życiu społecznym, jak i rodzinnym.

Tego samego zdania jest artystka Anna Paules. Literatka Marika

Stjernsted utrzymuje, że równoprawnienie potęguje jeszcze wzajemną miłość i przywiązanie małżonków. Jedną tylko działaczką polityczną, należąca do obozu socjalistycznego, pani Frida Stenhof, twierdzi, że reformy społeczne nie wywierają żadnego wpływu na życie rodzinne. Z. B.

WYCHOWANIE FIZYCZNE I ŻYCIE SPORTOWE KOBIET

JAZDA KONNA.

(Dokończenie).

Ruchy. Ażeby otrzymać od konia pewną pracę mechaniczną, wprawić go w ruch lub zatrzymać, używamy rozmaitych środków oddziaływania mechanicznego, a pośrednio psychicznego. Wolę swoją przekazujemy koniowi. Środkami, którymi mu tę wolę przekazujemy, są:

wodze (cugle),
łydki,
pochylenie korpusu,

a jako środki pomocnicze ostrogi, szpicruta (palcat, stek) i głos.

O użyciu poszczególnych z tych środków będziemy mówić przy omawianiu różnych chodów i rozmaitych sytuacji przy pracy nad koniem i przy jego użyciu. Uwagi ogólne byłyby: wodzy używać delikatnie („ręka miękka“) łydek silnie; pochylenia korpusu przenoszą środek ciężkości konia z jeźdźcem, ułatwiając ruchy, ogólnie biorąc, przedewszystkiem nie należy przeciążać nerek konia i zadu, gdy ten motor ruchu ma wykonać większą pracę, ostrogi używać tylko na koniu ujeżdżonym, szpicruty również jako podniety i jako kary, głosy jako pochwały, zachęty, nagany, a zawsze nastąpi porozumienie psychiczne między jeźdźcem a koniem i temperament konia, o ile jest niesforny — będzie łatwiej poskromiony.

W wypadkach narowów, nieposłuszeństwa koń musi poczuć na sobie silnego i konsekwentnego, a zarazem spokojnego i cierpliwego jeźdźca.

Zanim przystąpimy do ruchów, powiem jeszcze parę słów o wsiadaniu i zsiadaniu. Wodze zebrać należy do lewej ręki i oprzeć ją na przednim łuku siodła. Prawą ręką pomagać sobie czy to przy wsiadaniu — opierając się o łęk tylny, czy przy zsiadaniu — o przedni łęk. W obu wypadkach uważać, żeby siodło nie przekręcało się pod

ciężarem jeźdźca. Dlatego ten, kto pomaga przy wsiadaniu, powinien przytrzymać strzemię ze strony przeciwnej. Wsiada się i zsiada z lewej strony. Jeżeli koń przy wsiadaniu nie stoi spokojnie (zwykle ustępuje zadem w prawo) należy ukrócić prawą wodzę na karku i uważać, ażeby końcem lewej nogi, włożonej w strzemię, nie drażnić koniowi boku; to częstokroć jest powodem niespokojnego kręcenia się konia.

Stęp. Ruszyć konia w stęp, to znaczy pchnąć go, gdy stoi, naprzód. Nacisnąć równomiernie obie łydki, to obie zadnie nogi podejść pod konia, bo koń ma łaskoty w bokach i pod działaniem łydek podprowadza nogi pod siebie. Ten ruch tylnych nóg popchnie go do ruchu naprzód, jednoczesne pochylenie korpusu naprzód wzmocni to działanie. Wodze należy zwolnić i podać nieco naprzód. Koń ruszy.

Jeżeli jest przytępiony na działanie łydek, należy to ostatnie wzmocnić, zresztą użyć wszelkich innych pomocy: ostrogi, szpicruty, głosu.

Koń w stępie idzie na cztery takty. Przypuśćmy rusza prawą zadnią nogą, potem lewą przednią, potem lewą zadnią, potem prawą przednią.

Tempem nazywamy szybkość każdego poszczególnego chodu. Chody są następujące: stęp, kłus (skrótcony, czyli ćwiczebny, zwykły czyli polowy), galop (skrótcony czyli menażowy, albo kurcgalop) galop zwykły, albo polowy i cwał (karser).

A więc chody mogą być utrzymane w różnych tempach i mają charakterystyczną, specyficzną ilość i kolejność taktów, kroków.

Stęp należy wzmocniać, wyciągać, ażeby był jak najdłuższy. Koń się do tego długiego kroku wdroy i będzie w stępie, nie męcząc się, szybko przelatując przestrzeń.

W stępie jak i w kłusie koń powinien być o tyle z jednej strony

naciągnięty, a z drugiej strony zebrany, żeby ślady tylnych nóg pokrzyżowały ślady przednich.

Cofanie. Konia się cofa, gdy zajdzie potrzeba i dla zdyscyplinowania go. Naprzykład gdy koń się zatrzyma przed przeszkodą, która nie wymaga znaczniejszego rozpędu, należy cofnąć go, uważając żeby cofał się po tej linii, po której następnie będzie poprowadzony. Ażeby konia cofnąć, wystarczy normalnie ukrócić mu wodze. Jeżeli to nie wystarczy, pochylenie korpusu w tył doda koniowi impulsu do ruchu wstecznego, jednak nie należy i tu przeciążać ciężarem swego ciała zadu konia i utrudniać mu tem tego i tak trudnego dla niego ruchu. Cofać niewiele, 4 — 6 kroków naraz, nie dając koniowi cofać się samemu.

Kłus. W kłusie koń idzie na dwa takty: jednocześnie lewa przednia i prawa tylna i prawa przednia i lewa tylna (czyli lewa przekątna i prawa przekątna).

Puszcza się w kłus, podobnie jak w stęp. W kłusie należy unosić w strzemionach, anglezować: przy każdym kroku lewą (prawą) przednią nogą unieść się w strzemionach — zupełnie naturalnie, o tyle, o ile koń podrzuci i przy następnym kroku prawą (lewą) przednią nogą opuścić się łagodnie na siodło. Korpus pochylony nieco do przodu, ale krzyż prosty. Unosić się nie na strzemionach tylko, lecz przeważnie na kolanach, które mocno trzymają się siodła. Dla sprawdzenia należy umieć anglezować bez strzemion.

Anglezowanie należy co jakiś czas zmienić, ażeby nie przemęczać zbyttnio jednej nogi konia. Anglezowanie ułatwia ogromnie jazdę i koniowi i jeźdźcowi. Dla wzmocnienia dosiada, a w szczególności przylegu, służy kłus ćwiczebny, gdy jeździec „dosiada“, nie anglezuje. Przy kłusie ćwiczebnym tempo jest krótsze, przy anglezowaniu można dodawać kłusa, wyciągać, aż do największej szybkości, osiągalnej w kłusie dla danego konia.

Zwroty. Konia zwrócić można w miejscu albo po pewnej krzywej w ruchu. Przy początkowej nauce zaczynać należy od zwrotów o większym promieniu.

Zwrócić konia w lewo w ruchu (jazda w lewo) lewa wodza krótsza, prawa nieco wyżej naciska koniowi szyję w lewo. Lewa łydka nieruchomo przylega do boku konia, tworząc jak gdyby oś, dokoła której odbywa się obrót; łydka prawa daje koniowi ruch naprzód: naciska lub uderza, zależnie od potrzebnej siły impulsu. Korpus przechyla się do wewnętrznej (le-

OD ADMINISTRACJI

Przypominamy, że celem uniknięcia przerwy w wysyłce „Bluszczu“ należy najrychlej przesłać prenumeratę za

k w i e c i e Ń

wej) strony o tyle, ażeby zrównoważyć siłę odśrodkową obrotu. Ślady tylne powinny iść za śladami przednich nóg.

Zbieranie. Zebrać konia to znaczy ująć go w ramki między łydkami a wodzami: łydkami podciągnąć mu zad do przodu, a wodzami ściągnąć mu przód, zganaszować go czyli zgiąć mu głowę w karku. Najłatwiej zganaszować konia munsztukiem, albo niskim wytokiem.

W braku tych obydwu zganaszować przy pomocy samego wędzidla jest znacznie trudniej i potrzeba wtedy dużej subtelności w posługiwaniu się łydkami, wodzami, skłonami korpusu i t. p.

Zebranie konia jest niezbędne dla puszczania go w galop i dla bocznych chodów.

Galop należy dokładnie, technicznie rozumieć, ażeby świadomie móc używać tego chodu.

Galop ma trzy takty i może być z lewej albo analogicznie z prawej nogi przedniej. Galop z lewej: 1-szy krok prawa zadnia noga, 2-gi krok prawa przekątnie (prawa przednia i jednocześnie lewa tylna) 3-ci krok — lewa przednia.

Puścić w galop: zebrać konia, dać mu postawienie na lewo, tak jak przy jeździe w lewo. Prawa łydka za popręgiem uderza gwałtownie i wspólnie z lewą łydką na popręgu nieruchomą wysyła konia w galop. Gdy koń już ruszy, prawa łydka podtrzymuje galop, podbija — lewa przylega nieruchomo. W galopie nie dawać koniowi kłaść się na wodze, nie zaciągać go: zbierać i zwalniać, dążyć do tego, by tempo galopu zależało od siły działania łydek, a nie od naciągania wodzy. Ażeby konia w galopie uspokoić, można się również posługiwać głosem.

Z galopu nie przechodzi się od razu w stęp, lecz zawsze w klus: głowę koniowi stawia się prosto, łydka zewnętrzna, podtrzymująca galop przestaje działać, korpus odchyła się i wodze ukróca.

Skoki. Teoria skoków jak i skoki same jest rzeczą ogromnie trudną, potrzebną dla specjalistów, ja, podając najbardziej ogólne zasady jazdy dla początkujących, powiem o niej tylko to, co najbardziej niezbędne.

Uczyć się skoków należy bardzo ostrożnie i stopniowo, skakać tylko przez przeszkody niestałe, dające się łatwo zrzucić, obalić gdy się koń zaczepi, a więc przez przeszkody bezpieczne.

Uczyć się skakać najlepiej na siodle bez strzemion, to jedno wyrobi pewność i mocny dosiad.

Skacząc ze strzemionami głęboko strzemion nie brać (jak to wielu uczy i jak modnym jest teraz jeździć). Zbyt wielkie jest niebezpieczeństwo, przy upadku zwłaszcza razem z koniem.

Przy skoku podawać ciało za naturalnym ruchem konia, w stadium początkowym skoku ciało podać naprzód, nie oddzielając się jednak od konia, Ręce również do przodu, ażeby zwolnić pysk i wodze, gdyż koń musi móc skacząc wyciągnąć swobodnie szyję. Gdy koń lądzuje, korpus stopniowo wyprostowuje się. Przy skokach należy dążyć do takiego opanowania konia, ażeby koń podchodził do przeszkody w tempie, zależnym zupełnie od woli jeźdźcy.

L. F.

NA MARGINESACH ŻYCIA

W starych księgach najciekawsze bywają dla badaczy... marginesy. I księga życia ma marginesy swoje od tekstów głównych ważniejsze nieraz dla przyszłości, choć przez współczesnych zwykle niedocenione.

O tych przypisach, pomijanych stale milczeniem przez urzędowych kronikarzy chwili bieżącej, mówić tutaj chcemy i odczytywać ich zawikłaną często treść.

* * *

Komuna i mamona!

Z jednych wylęgle źródeł pogoni za tem, co przemijające, co istotnego bytu pozbawione — pogoni za pieniądzem, za materialnym użyciem — dwa te demony o twarzach zwierząt, wprowadzają do życia ludzkości i narodów poszczególnych jad rozkładu. Poświęceniem i panowaniem prawa żyją narody.

Narody giną, gdy bierze w nich górę mamona albo komuna. Gdy zetkną się z sobą dwie te złowrogie potęgi, całe części świata ogarnia śmierć i zniszczenie. Olbrzymie, bogate lądy zamieniają się w pustynie.

Tak mówił na jednej z tygodniowych wieczornic Tow. przyjaciół wiedzy i przyrody prof. Czajkowski, mówca utalentowany i głęboko wnikający w treść zjawisk współczesnego życia.

W przекłętej krainie ongi białych, a dziś czerwonych carów szaleje komuna; u nas mamona (pogoń za bogactwem nie krępowana żadnymi względami moralności) święci orgie, które tamte widmo krwawe wywołają mogą z pod ziemi.

Mówca ostrzegał, obrazy pełne apokaliptycznej grozy wywołując przed oczy zgromadzonych.

O Towarzystwie miłośników wiedzy i przyrody mało kto wie u nas. Są to ludzie, co chcieliby życie polskie ukształtować na nowy polski ład. Studują polskich filozofów, rozprawiają o dziełach Wrońskiego, budzą w stowarzyszonych umiłowanie przyrody i chęć zrozumienia celów bytu. Mają piękne zbiory przyrodnicze, mają bogatą bibliotekę, do której należy także cenny księgozbiór Ochowicza. Mają zamiar założyć „pracownię” czyli fabrykę, której stosunki oparte byłyby nie na wyzysku z jednej, a chęci wydarzenia jej właścicielowi — z drugiej strony — Utopiści!

Wśród szumu i zgiełku rzeczy ważnych i najważniejszych, zaledwo na marginesie wspomnieć o nich można

* * *

Istnieje od 1919 r. przy Ministerstwie Oświecenia Państwowego Komisja Ochrony Przyrody. Zadaniem jej ochraniać od zniszczenia piękno naszego kraju, drzewa — olbrzymy, skały — pomniki przeszłości, bory dziewicze, ginące rody zwierząt.

Zdziałala bardzo wiele, mimo wielkich trudności na drodze, a obecnie powzięła wspaniałe projekty. Więc całe Tatry z utraconą przez nas Jaworzyną, wraz przynależnym dawniej do Węgier, a dziś do Czechosłowacji, kompleksem najwyższych szczytów i najpiękniejszych jezior — zamienia na wielki park narodowy.

Parki takie istnieją w Stanach Zjednoczonych. Nazywają je tam parkami natury. W takim parku nie wolno siekierze ludzkiej ani jednego położyć drzewa, nie wolno strzelać do zwierzyny, która żyje i mnoży się, jak ongiś w kraju, nie wolno niszczyć kwiatów, prowadzić żadnych nie-ludzkich przemysłów. Jest to t. zw. „rezerwat” — miejsce, w którym przyroda zachowana w pierwotnej swej czystości i sile, nie podlega niszczycielskim zapędom człowieka.

W Tatrach, prócz pasterstwa, które jest jakby integralną częścią przyrody tamtejszej, nie wolno będzie ludziom prowadzić żadnej gospodarki.

Przez szereg lat z rzędu nie dopuści się do niektórych okolic żadnego turysty, a to dlatego, by nie wyginęły w tych górach kozice i świstaki i orły, by nie wyginęły zielone, jedwabiste limpy i cisy posępne.

Podobno Czesi godzą się na myśl załatwienia w ten sposób sporów granicznych. Podobno będziemy mieli najpiękniejszy w Europie, a bogdaj na całym świecie najpiękniejszy park natury.

Chce Komisja ochrony przyrody stworzyć i pod Warszawą park narodowy Resztki puszczy Kampinowskiej; starego powstańczego boru — otoczyć opieką. A są tam pono osobliwości botaniczne, których niema w innych stronach kraju; na pustkach i moczarach Kampinosa są legi żoraw; są ruiny starych zamków mazowieckich, ukryte wśród czarnych brzoź — a dojeżdża się do skraju puszczy od Młocin. Pod bokiem więc stworzonoby pozbawionej pięknych okolic stolicy dziki park natury.

Zaprawdę, twórcza myśl polska jest dziwnie wielostronna, że w okresie budowy Państwa, ciężkich walk orężnych, trudnego osadzania się na podwalinach bytu, pomyślała już o zachowaniu nieśmiertelnego, dzikiego czaru ziemi ojczystej.

* * *

Na trzecim pięterku kamienicy Baryczków wystawiono prace więźniów: kilimy, meble z wikliny, zabawki, hafty, roboty sycerskie. Niektóre z nich pójdą na wystawę sztuk dekoracyjnych do Paryża.

Dziwna, bezimienna wystawa! Są tylko nazwy więźniów. Imiona ludzkie zginęły w pyłe potępienia.

A przecież to z duszami ludzkimi obucjemy tutaj.

Ręką, co budowała chatę chruściana i całe obejście i studnię z żorawiem, — tą ręką kierowała tęsknota.

A tą drugą, co w płaskorzeźbie ukazała przykutego do ściany więźnia, na kolanach rwącego się rozpaczonym ruchem w dal.. tą drugą władało przemożne pragnienie wolności...

A tę, co z taką miłością wyrzeźbiła w drzewie Chrystusa na krzyżu — żal i pokuta...

Dłaczego, dlaczego pozbawiono ich nawet imion!?

Andrzej.



Stanisław Baczyński „Literatura Piękną
Polski porozbiorowej (1794—1863),” Lwów-
Poznań. Nakładem Wydaw. Polskiego, 1924.

Ukazywanie się tego nowego podręcznika
literatury polskiej XX w. należy powitać
z zadowoleniem, a nawet z radością.

Sposób ujęcia przedmiotu i układ tre-
ści kwalifikują go na dzieło niezmiernie
odpowiednie dla samouków, dla ludzi, któ-
rzy poza szkołą pragną przypomnieć so-
bie, uzupełnić, rozszerzyć i uporządkować
swoje wykształcenie literackie. Jest to
książka popularna w najszlachetniejszym
znaczeniu tego słowa, to jest przystępna,
a zarazem nie rezygnująca z docierania
do najpoważniejszych zagadnień literatury.

Jeśli zaś mówię, że nadaje się dla sa-
mouków, to nie znaczy, żebym przez to
uważała ją za nieodpowiednią dla szkół.
Tylko, że na tym zakresie użyteczności
książki nie znam się, więc go pomijam.

Autor podzielił rzecz swą na dziewięć
rozdziałów, przytem każdy rozdział za-
opatrzone jest w bibliografię, dotyczącą opi-
sanego okresu literatury. Jest to rzecz
nadzwyczaj cenna, bo przez to książka sta-
je się nietylko rodzajem vade mecum
przedmiotu, ale i bodźcem do głębszych
i dalszych studjów nad dziełami naszego
piśmiennictwa.

Oprócz tej bibliografii na końcu książki
pomieszczono bibliografię ogólną, oraz
skorowidze autorów i przedmiotów. Na-
tomiał techniczną wadą dzieła jest nie-
pomieszczenie spisu rzeczy, co się często
zdarza w naszych wydawnictwach.

Dzieje literatury w książce p. St. Ba-
czyńskiego doprowadzone są do 1863 roku.

Jak wynika z treści książki, zapowier-
dziany jest następny tom, który rzecz ma
doprowadzić do 1924 go roku. Szkoda
jednak, że to nie zostało zaznaczone w ty-
tule w słowach: „Tom I-szy.” Ta drobna
rzecz jest potrzebna wobec naszego czy-
telnika, któremu trzeba zawsze przypomi-
nać o tem, jakie książki ukazują się i uka-
żą. Zawsze „Tom I-szy” obowiązuje już
potrosze do nabycia drugiego.

Co się tyczy wyrażonych w omawianej
książce poglądów, to są one nacechowane
bezsłownością, wskazaną w tego rodzaju
publikacji. Jej charakter również nie po-
zwolił autorowi rozwinąć całkowicie indy-
widualnego stosunku do różnych zagadnień,
na co, jak z niektórych napomknien można
sądzić, stać pana St. Baczyńskiego.

Uwzględniwszy naogół bardzo szczęśli-
wie rezultaty nowszych badań nad literatu-
rą, w stosunku do paru kwestyj, na które
dziś już patrzymy nowemi oczyma — autor
nie ustrzegł się lekkiego konwen-
jonalizmu. Dotyczy to np. niektórych
poglądów na naszych wielkich romantyków,
za mało np. świeżości technięte zostało
w stosunek do Pana Tadeusza, który po-

dobnie, jak niektóre wielkie postacie dzie-
jowe, skonwencjonalizował się w naszym
wyobrażeniu. Również cokolwiek zdawko-
we jest, zgodne zresztą z całą dotychcza-
sową historją literatury, podtrzymywanie
historjozoficzno-filozoficznej roli Krasiń-
skiego.

Tak jak cała polska historia i krytyka
literatury, tak i ten podręcznik idzie wciąż
jeszcze drogą rozpatrywania ideowości
naszej literatury. Zajmuje się wciąż stro-
ną intelektualną, treściową, a więc nieis-
totną jej dzieł.

Sądzę, że przyszła historia literatury
będzie przede wszystkim historją tych cu-
downych sposobów formy artystycznej, ja-
kimi poeci i powieściopisarze budują w
nas owo uczucie rozkoszy estetycznej, sta-
nowiące tak ważny bodźec życiowy i bę-
dące jedyną racją istnienia dzieł sztuki.

Że będzie historją słow artystycz-
nego i sposobów jego użycia tak, ażeby
zgodnie z tęsknotą Norwida „odtwarzało
istotną treść pojęcia” — istotną treść —
to znaczy tę pozaumysłową resztą Abra-
mowskiego, to coś, co jest poza zjawis-
kami, a czego wyrażenie, z czem połącze-
nie jedynym celem utworów artystycznych.

Ze St. Baczyński w tak pojętej historii
literatury może mieć coś do powiedzenia,
o tem świadczy rozdział omawianej książ-
ki, poświęcony Norwidowi. Śród wielu za-
let książki Baczyńskiego największą zaletą
a nawet więcej — za sługą jest wpro-
wadzenie do podręcznika literatury zawsze
pomijanego, albo traktowanego po maco-
szemu Norwida. Temu wielkiemu poecie,
który nie zawsze zwyciężył, ale zawsze na
właściwej drodze borykał się z zagadnie-
niami artystycznymi, St. Baczyński wy-
znaczył w swej książce miejsce zupełnie
należyte. Nie mając zaś w tej dziedzinie
za sobą balastu konwencjonalnych pojęć,
przepełił te stronice prawdziwym entuzjaz-
mem, oryginalnością i świeżością poglądu.

Marja Dąbrowska.

przenika się i splata z polskimi mo-
tywami zdobniczymi (ozdoby głowy, kwiat-
ki na materjale, malwy w ogrodzie Matki
Boskiej).

Sztuka taka, delikatna i spokojna, jest —
jak słusznie zauważył p. Treter w artykule
o „Estetyce Rytmu” (Wiadom. lit. № 19,
1924 r.) produktem, subtelnej i wyrafino-
wanej kultury. Prostota jej nie wynika
z braku, czy też ubóstwa, lecz jest zdro-
nym stanowiskiem, do którego się do s z ł o.

P. Wąsowicz wydaje mi się bardzo
dobrze zgranym z materjałem, którego
obecnie używa. Obrazy jego na jedwabiu
 („Draperje”) mają świetną barwę, jak np.
w gorącym tonie ciemnego złota i bron-
zu utrzymany s ty Sebastjan i bogato po-
traktowany s ty Jerzy.

Artysta usuwa szczegóły, ledwie zazna-
cza tło, upraszcza perspektywę, czyniąc
kompozycję jednoplanową, rozkłada światła
i cienie, otrzymując ciekawe wyniki, ma-
larskie przede wszystkim.

Bogata dekoracja talerzy o tematach
rodzajowych i symbolicznych opiera się na
doskonałym modelowaniu kształtu zapraco-
wanych barw i światła. Linja u p. Wąsowicza
jest niejako emanacją tych czynników.

Zamierzenia dekoracyjne występują w
obrazach równie silnie, jak w przedmio-
tach sztuki stosowanej. W „martwej natu-
rze,” „owocach,” „kwiatkach i mandolinie” —
artysta deformuje kształty i wprowadza
barwy nierealne, tem nie mniej ciekawe —
ce się P. Wąsowicz jest poszukiwaczem,
który przeszedł poza impresjonizm, ponad
naśladowictwem natury i odnajduje własny
wyraz dla odtworzenia wrażeń ze świata
widzialności.

Wykwintna sztuka obydwu artystów, zu-
pełnie oderwana od rzeczywistości, jest
rodzajem beznamiennej bajki, którą sta-
wiają pomiędzy sobą, a dzisiejszym światem

N. Samotybowa-

Z MUZYKI

DROBNE UTWORY FORTEPIANOWE
SCHUMANNA

Nieraz te drobniutki mają zaledwie dwie
lub trzy linje, wiele z nich nie wymaga
wcale szybkiego tempa, nierzadko są
utworzone z pomocą zupełnie prostych
środków. Czy jednak są łatwe? Je-
żeli się mierzy trudności pianistyczne
miarą wyrobienia palców w znaczeniu szyb-
kości gry, zapewne niejednemu te minja-
tury wydadzą się całkiem przystępne z nie-
licznymi wyjątkami.

Wszak słyszy się czasem zdanie, że
małych rzeczy Schumanna lub Griega grać
niewarto, bo niema w nich właściwie nic
do grania. Pogląd bardzo jest jednostron-
ny. W wykonaniu muzycznym następują
się zasadniczo dwa rodzaje trudności, zu-
pełnie jednak współzależne i jednakowo
ważne przy interpretacji utworu: 1) trud-
ności czysto techniczne, wymagające do-
skonałej sprawności palców i 2) trudności
pięknego wykonania, wymagające od wyko-
nawcy znacznego udziału jego sił inte-
lektualnych i duchowych przy zagranju
choćby najmniejszej rzeczy. Ścisłej mó-
wiąc i dla drugiego rodzaju trudności ko-
niecnie jest wyrobienie techniczne: pe-
dalizacja, piękne dotknięcie, rozmaite
sposobów uderzania, niezależność palców
i t. d., jednak utarła się nazwa techniki dla
szybkości palcowej, ponieważ ogółowi pu-
bliczności wydaje się to rzeczą najtrud-
niejszą do osiągnięcia i najbardziej ją ude-
rza. Jeden z wybitniejszych pedagogów
rzucił kiedyś w gronie swych uczniów taką
myśl: „Małą rzecz trudniej jest zagrać niż
dużą”. Brzmi to jak paradoks, ale zawiera
dużo słuszności. Jeżeli ktoś ma wielką
biegłość palcową, siłę, brawurę, może do-

Wystawa prac dekora- cyjnych i obrazów Wa- cława Husarskiego i Wa- cława Wąsowicza

SALON CZ. GARLIŃSKIEGO

Marzec

Wystawa dekoracyjno-malarska panów
Husarskiego i Wąsowicza jest bardzo jed-
nolita pod względem formy. Patrzący do-
znaje w pierwszej chwili wrażenia dużego
pokrewieństwa pomiędzy obu artystami.
Sztuka ich jakgdyby wyszła z jednego
źródła, zwracając się następnie od pewne-
go punktu w różne, lecz nie przeciwne so-
bie strony.

Pan Husarski jest prostszy, zarówno w
barwach, jak i w lini. Zaznacza on ja-
niekiedy mocno, grubym, wyraźnym konturem,
ujmując kształt (św. Franciszek, Lirnik).
Pociąga p. H. prymitywizmem tematu, nastro-
ju i formy. Świadomie zwraca się ku na-
iwności i ludowości; ku takim motywom,
jak praczka, lirnik, czesanie panny młodej,
baba z wiadrami, kobieta karmiąca, Chrystus
Frasobliwy. W utworach tych rzeczy-
wistość jest jedynie punktem wyjścia dla
poszukiwania stylu i wyrazu, które osiąga
przez linję i delikatne zespoły barw (błę-
kit i zieleń).

Zarówno w obrazach: Madonna, Zwiasto-
wanie, św. Franciszek, jak i w obiektach
sztuki dekoracyjnej: serja talerzy, zdobio-
nych barwami i postaciami wsi polskiej
i w kilku innych o charakterze i reminiscen-
cjach klasycznych — duch treceuta

skonałe zaimponować wykonaniem utworu, dającym pole do popisu.

W małej, lirycznej rzeczy takiego pola do popisu już niema, ale drzemią w niej często cudowne nastroje, które zbudzić można, dotknąwszy się jej bardzo subtelnie, sposobami takimi są właśnie drobne utwory Schumanna. Organizacja duchowa Schumanna była niezwykle bogata. Każdy nie ma takt nosi piętno takiej wrażliwej, złóżnej, marzyzielskiej natury. Oczywiście nie wszystkie kompozycje Schumanna są równie doskonałe, w niektórych znajdują się braki, np. pewne zagmatwanie występuje czasami w tych, co powstały w okresie zachwianej równowagi psychicznej. Ale banalnym, tanim, płytkim Schumann nie był nigdy.

Styl miniaturowy fortepianowy przedstawia przeciwieństwo jednolitości, a tak barwną tkaninę. Króciutki motyw, wędrując to tu to tam, ukazując się na coraz to innym podłożu harmonicznym wytwarza bogatą i skończoną całość w minimalnych rozmiarach. To znów w rzeczy maluchnej dwie odrębne melodie, a każda równie piękna linią i wyrazem. Schumann lubi głosy środkowe, często w bardzo kunsztowny sposób ukryte, używa też nieraz ciekawych rytmów. Utwory jego nie są jak człowiek łatwy do poznania, z którego twarzy i ruchów odrazu widać, jakim jest jego wyraz wewnętrzny. Nie, one są jak człowiek trudno dostępny, którego oblicze nie zawsze odbija jego właściwą treść, którego trzeba dłużej znać i bliżej poznać, by ocenić duszę bogatą. Kompozycje Schumanna warte są najzupełniej, by je tak poznać i zgłębiać. A poznawać nieraz trzeba długo, by wyciągnąć te ukryte głosy. Bez nich wykonanie staje się wypadczonym nie do poznania. Trzeba nadzwyczaj starannie badać położenie i kierunek melodji, wsłuchiwać się w brzmienie, jakie z fortepianu palce wydobywają, subtelnie frazować, a zwłaszcza obmyślić pedalizację, by dźwięki się nie zlewały, a natomiast by się wyupukliła melodja i harmonja.

Z mniejszych utworów omówię tylko te, które uważam za dostępne dla ogółu. Już np. *Papillons* op. 2 (12 drobnych numerów) przedstawia trudności wirtuozowskie i bez wielkiej sprawności palców i lekkości dłoni zabierać się do nich nie można.

Album dla młodzieży op. 68 zawiera prawdziwe perły, ale z nich nieliczne tylko nadają się dla dzieci — i to muzykalnych — (nie trzeba zapominać, że Schumann obcował z małą Klarą Wieck — poznał ją, zdaje się, gdy miała lat 9. — Klara zaś była dzieckiem nadzwyczajnym; sądzić, że znajomość ta musiała mieć znaczenie dla powstania Albumu dla młodzieży i *Obrazków z życia dzieci*). Poza tem jest to znakomity, jak najbardziej wskazany repertuar dla grających. Przytoczę niektóre tytuły, najbardziej zasługujące na troskliwą interpretację. 13) *Maj*; 15) *Pieśń wiosenna*; 20) *Pieśń wieśniaków*; 22) *Pieśń z korowodem*; 23) *Fanfara rycerska*; 26) ** * **; 28) *Wspomnienie*; 32) *Sheherazada*; 35) *Mignon* (uwaga na głosy górne i średnie); 37) *Pieśń marynarzy*; 38) i 39) *Zima*; 41) *Pieśń północna*. We wszystkich tych rzeczach rzadko kiedy melodja i akompanjament są rozdzielone tylko między obie ręce: melodja występuje na tle współbrzmienia w jednej i tej samej ręce i trzeba ją doskonale wydobyć.

Sceny leśne, op. 82. Sliczny i niełatwy jest *Wstęp*, także *Kwiaty samotne*, *Przytułek*, *Pieśń myśliwska*, *Pożegnanie*. Pozostałe mniej się wyróżniają, lub są trudne. Sceny są większe rozmiarami od poprzednich kompozycji.

Kartki z albumu, op. 124. Króciutkie, ale nadzwyczaj subtelnie muszą być potraktowane. Są między nimi arcydzieła formy, metodyki i nastroju. Niektóre, jak *Impromptu*, *Scherzino*, *Walc* (102),

Burla, *Vision*, przedstawiają znaczne trudności tempa i swobody dłoni; inne, jak *Walc* (4a), *Kołysanka* (6a), *Romanza* nie są techniczne, jednak wymagają wiele ze strony grającego. Jest ich ogółem 20.

Obrazki z życia dzieci, op. 15, nie są wcale przeznaczone dla dzieci. Z nich może tylko parę jest trudnych co do tempa, inne zawierają trudności, o których wyżej była mowa. Każdy z tych miniaturowych obrazków ma swój właściwy, odrębny wyraz i nastrój. Tyle w nich uczucia i ciepła, tyle radości i humoru, a jeżeli na chwilę zadźwięczy smutna nuta, to jest ona, jak ten płacz dziecka, po którym w tej chwili uśmiech świeci.

Barwne kartki, op. 99, zdaje się mało znane i grywane, jednak warto z nimi się poznać, bo są wśród nich niezmiernie ciekawe rzeczy, choć niektóre trudne. Do łatwiejszych należą: 1-y *Z trzech kawałków*, 1, 3, 4 i 5-ta *z Kartek z albumu*, *Muzyka wieczorna*. Zwrócę uwagę na cudowny *Marsz d moll*, nietrudny w części pierwszej, ale przedstawiający duże trudności dla gry dłonią w części drugiej. Dwie ostatnie kompozycje należą już do wikszych.

Warto grywać trzy małe *Sonety dla młodzieży*, op. 118 — poświęcił je Schumann trzem swoim córkom.

Brak miejsca nie pozwala mi już na rozbiór jeszcze pozostałych mniejszych rzeczy fortepianowych. Zakończę poleceniem miłośnikom gry na 4 ręce niezmiernie subtelnych, nastrojowych i pięknie brzmiących *Obrazków ze Wschodu*, op. 66 (jest ich sześć).

Ryta Gnus.

Z TEATRÓW

TEATR IM. BOGUSŁAWSKIEGO

„*Kniaź Potiomkim*” Dramat w 5-ciu aktach *Tadeusza Micińskiego*. Inscenizacja L. S. Schillera. Kompozycja przestrzeni scenicznej *Andrzeja i Zbigniewa Pronaszaków*. Muzyka *Karola Szymanowskiego*.

Sztuka *Micińskiego*, wystawiona w teatrze im *Bogusławskiego* nie jest, zaiste, dla tych, którzy mówiąc językiem *Stanisława Brzozowskiego*, chcą, — by słowo poezji było miłosierdem. O nie! Bije to słowo i smaga, jak potężny wiatr morski, który z wyciem i jękiem przelatuje przez liny i reje na statku „*Kniaź Potiomkin*”.



Niejednokrotnie w ciągu tych potężnych pięciu aktów dramatu, chciałoby się zerwać ze swego miejsca, zatknąć uszy i zamknąć oczy i wołać na cały głos: „dosyć, już dosyć,” chciałoby się błagać poetę, by zatrzymał swój huraganowy pęd myśli, by przestało się dziać — to straszne i to nieuniknione, co się tam przewala na deskach teatru, co wyciąga ku nam ze sceny swą długą, kościstą rękę, by sięgnąć do ludzkich trzewi i zatargać. Nie dziwiłam się, gdy w akcie trzecim w momencie, kiedy nad rozpętanym kłębiszkiem ludzkich ciał i nierządu, zjawia się w piorunach widmo *Wilhelma Tona*, napróżno wzywające do „wchodzenia po olbrzymich górach”, że w tym właśnie momencie, usłyszałam na widowni krótki, urwany krzyk mdlejącej kobiety.

Z teatru wychodzi się pod tak niezwykłym wrażeniem, z gardłem ściśniętym zimnym spazmem, że z trudem chwytą się ustami powietrze, jakby się wyszło na pokład statku z buchającej żarą kotłowni pancernika.

W tej właśnie dusznej, krwawym światłem ogromnych palenisk oświetlonej kotłowni pocyna się dramat ludzi, w których duszach dojrzało, wykołysane tęsknotą do jasnego życia — pragnienie rewolucji. Ich ręce rozpoczną dzieło buntu, ich barki silne, hartowane w ogniu pracy i nędzy mają dość siły, by wydzwignąć wszyscy wodza rewolucji — „wielkiego nauczyciela.”

Ale gdzież on? Gdzie ten, który ich powiedzie? Nie będzie nim, gardzący tłumem, *Wilhelm Ton*, choć właściwie on jeden tylko znał, nieomylnie drogi drogi zwycięstwa nie będzie nim *tembar dziej* *lejtenant Szmidt*, bo, — jak mówi wami *Massynissa*, urodził się do słów, a nie do czynu.

U progu pierwszego dnia rewolucji z ręki nawiół obłąkanego *Mitieńki* ginie *Wilhelm Ton*, choć on jeden mógł być wodzem ruchu; uchodzi ze zbuntowanego pancernika w odmęty morskie *lejtenant Szmidt*, w chwili owładającej nim epilepsji i miast realnego czynu daje tym, którzy wierzili i którzy chcieli go ślepo służyć, tylko słowo: „zwyciężajcie.”

Tak oto na tym symbolicznym pancerniku zostaje samotna załoga. Otacza ich wokół zdradliwe morze, które czyha na ich młode ciała. Dusze ich szarpie straszliwa moc *Mroku*. Zwycięstwo wymyka się im z rąk. Przychodzą coraz nowe pokusy, które zatrzymują ich w pół drogi, zagłąda im w oczy widmo strachu, stygnie krew w żyłach, martwieją w przerażeniu ręce, które miały dźwigać sztandar zwycięstwa, wypeł za gład tchorzostwa, nawołujący do odwrotu. Z ulic odeskich, gdzie triumfowało rozpasanie i nikczemność, gdzie tłum korzył się przed nagą *Madonną Trędowatych*, zawlekli *marynarze* na pokład swego pancernika *Ducha zepsucia* — i zahalali w pijanem oszołomieniu na popielisku wielkiej idei. A ster pancernika ujął *Nieznajomy*. Dokąd powiedzie? Tułać się będzie po bezmiarach mroku samotny pancernik „*Kniaź Potiomkin*”, szukać będą kierunku ci, co mieli siłę, by zatargać łańcuchem niewoli, lecz nie mieli siły ująć steru. Tułać się będą dopóty, dopóki *Boże Dziecię* nie gości w sercach ludzi.

Wystawienie „*Kniazia Potiomkina*” nazwano wielkim czinem artystycznym. Istotnie — uderza nas w wystawieniu tej sztuki wielka suma pracy twórczej, głębokie przemyślenie dramatu, wydobycia z jego tajni wskazań, dotyczących formy teatralnej. Niezwykle walory reżyserji ujawniły się przedewszystkiem w operowaniu tłumem. Dlatego, gdy się myśli o aktorach, grających w dramacie *Micińskiego*, to myśli się nie tyle o *Brydzińskim*, który spokojnie i głęboko ujął postać *lejtanta Szmidta*, i nie o *Nowakowskim* — jako

Wilhelmie Tonie — ale o tym największym w dramacie aktorze — o tłumie.

Rządzi tym tłumem jakieś potężne prawo rytmu, które zawisło nad ruchem i nad słowem tłumy, rytmu, który — jak owo dzikie tętno marszu bosaków — zdaje się rozsadzać czaszkę i dusić za gardło.

P.

TEATR POLSKI

„Djabeł i karczmarka.” Komedja fantastyczna w 3 aktach *Stefana Krzywoszewskiego*.

Z wyrazem „komedja” łączyć przywykliśmy jakieś głębsze uchwycenie prawdy życiowej.

Nie szukajmy tego w „Djable i karczmarce.”

Niema tam nic.

Ale właśnie dlatego, że nic niema, sztuka podoba się współczesnemu widzowi teatralnemu. Ma „widowisko” barwne, wesołe, zajmujące.

Było to przeszło sto lat temu. Gdzieś w karczmie przy gościńcu trzymała oberżę uroczą karczmarka, wdówka, nieco lekka, nieco romansowa. Sprzykrzyło jej się jednak życie niecotliwe. Postanowiła wyjść za fryzjera i być mu wierną żoną.

Aliści „zły” przeląkł się, że straci „duszę,” na którą już liczył napewno. Puszca więc w ruch cały aparat pokus.

Zajeżdża, właśnie w chwili toastów weselnych, przed oberżę wspaniała karoca (publiczność oczywiście klaszcze w tem miejscu — i to nie górne piętra, a parter dostojny i bogaty) — wysiadają strojnie poubierane damy i panowie i proszą o gościnę.

Weselnicy są niezadowoleni, — państwo młodzi również — no ale co zrobić!

Przybyli mieszają się z gośćmi weselnymi i od tej chwili czar jest rzucony. Coś się przemienia — inne światło pada na ziemię — w tem oświetleniu rozpalają się wszystkie namiętności, najstateczniejsi obywatela z miasteczka zaczynają romansować, a fryzjer czesze przy wszystkich rude włosy pięknej djablicy i jak czesze... tak, że młoda, cnotliwa małżonka robi mu awanturę i rozpędza całe rozbawione i rozswawolone towarzystwo.

Pozostaje jednak djabeł — uwodziciel, wielki pan i jego sekretarz.

Djabeł djabłu podstawi nogę, bo tak podobno w Polsce bywa — twierdzi autor — sekretarz kuternoga, zazdrosny o jego funkcje, podsuwa uwodzicielowi napój miłosny, ale i sam zmuszony jest wypić pół kielicha. Skutek jest taki, że obydwa djabły zakochują się naprawdę w pięknej gospodyni. Djabeł zakochany, czy kochający uwodzić na zimno nie umie, waha

się wrażliwy jest na łzy, zwłóczy i. do-czekuje się momentu, gdy skruszony fryzjer przybywa w towarzystwie skruszonych krewnych, by przebłagać rozgniewaną małżonkę.

Następuje pojednanie, a djabeł... płacze!

Drugi djabeł, smutny kuternoga godzi się za stróża w gospodzie, byleby nie rozstać się ze swym ideałem.

Karczmarką była p. Malicka — wyglądała tak uroczą i grała z takim wdziękiem, że mogli się w niej nawet djabły zakochać.

Piękne były dwie djablice: p. Modrzewska i p. Balcerkiewiczówna. Obie grały doskonale. Natomiast p. Grabowski, jako uwodziciel, słuchając wciąż natchnień, nie tyle piekła, ile suflera, rozwłóczył niemożliwie swoją rolę. Dobrym fryzjerem był p. Justjan.

Wznowionej sztuce poświęcono wiele staranności. Świat djabelski jakoś „naturalnie” wynikał z zaświata, a odpowiednie użycie światła dawało potrzebne nastroje i wlewało jakąś muzyczność w to, zresztą dość pospolite widowisko. H. C.



Książki nadesłane

M. J. Wielopolska — *Janowska*. „Gontow-szczyzna.”

Czerwony Krzyż Młodzieży w czynie Wyd. Komisji Oddziałowej Czerw. Krzyża Młodzieży w Warszawie.

Włodzy Skiba „Nad poziomy,” t. 1-szy. Wydawnictwo Biblioteki Domu Polskiego.

Juz. Jerzy Hoser „Czy jest możliwość trwałego istnienia Rzeczypospolitej przy teraźniejszym prawodawstwie?”

BEZPŁATNA PREMJA DLA KWARTALNYCH PRENUMERATOREK „BLUSZCZU”

CZYTELNICZKI „BLUSZCZU”, które prześlą najpóźniej do 8-go kwietnia prenumeratę za II-gi kwartał b. r. oraz 70 groszy na kosztą poleconej przesyłki, czyli razem 15 zł 10 gr. OTRZYMAJĄ jako bezpłatną premję PRZESLICZNĄ KSIĄŻKĘ:

JACKA LONDONA

„PRZYGODA”

(THE ADVENTURE)

w znakomitym przekładzie Stanisławy Kuszelewskiej, ŚWIEŁO WYDANA przez E. Wendego i S-kę (cena księgarska 4 zł. 80 gr.), ZAWIERAJĄCĄ OPIS PRZYGÓD DZIELNEJ KOBIECY NA MORZACH POŁUDNIOWYCH.

CZEM OZDOBIĆ CZEPECZKI



Z batystu czy z tiulu, z koronki czy z organdy, aby naprawdę być szykownym i ładnym każdy czepeczek wymaga subtelnego i zręcznego wykończenia. Koronki ze wstążki, lub aksamitki nie do każdego pasują i nie każdej z nas jest w nich do twarzy, więc aby Wam pomóc miłe czytelniczki w tym trudnym zadaniu podaję kilka sposobów robienia z jedwabiu, lub wstążeczki kwiatków, które ślicznie wykończą skromne i strojne czepeczki, a nieraz i do przybrania sukni przydać się mogą.

Na rysunku 1 widzicie różyczkę wymarszczoną misternie z kawałka materji, z pękłami z wąziutkiej wstążeczki, które jak listki ją otaczają.

Bierzemy kawałek podwójnie złożonego jedwabiu długości 22 ctm. [szeroki na 4 ctm.—i zwężający się ku końcowi do 2 ctm. Marszczenie zaczynamy od węższego końca, który będzie two-

rzył środek kwiatka i ściągając nitkę układamy zręcznie różyczkę jak na rysunku 1-a wskazane.

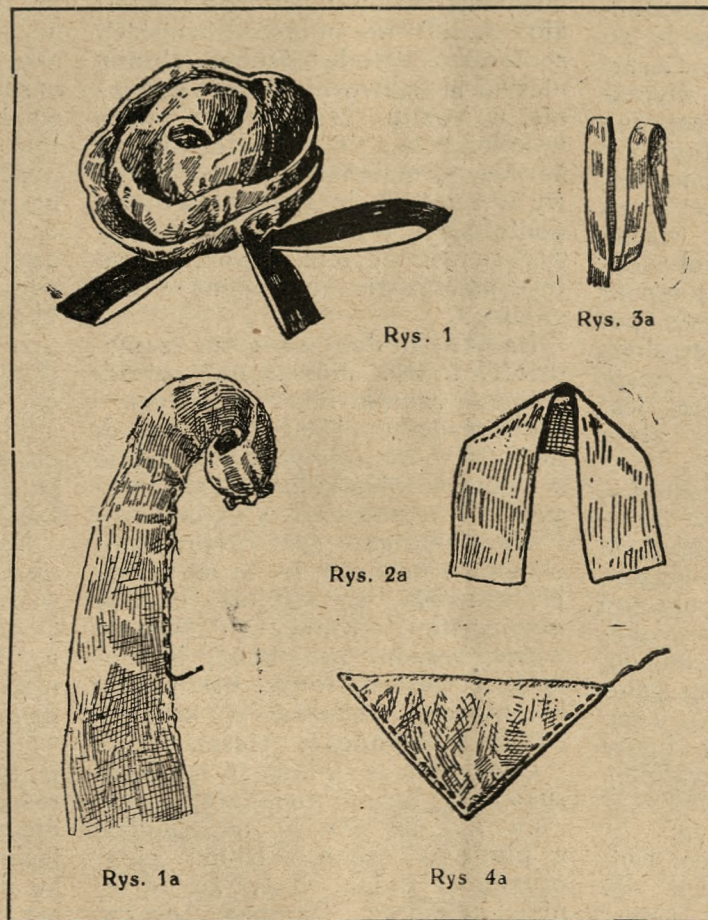
rokiej (rysunek 2). Na każdy płatek potrzeba 5 ctm. wstążeczki, która się składa jak na rysunku 2-a. Cztery płateczki zeszywa się ze sobą i wykończa się środek pacioreczkami, lub supełkami z grubej bawełny, albo jedwabiu.

Z wąziutkiej wstążeczki można także ułożyć kwiatek, rodzaj rumianka (rysunek 3) składając wstążeczkę jak na rysunku 3-a wskazane i wykończając środek kwiatka rioszką wymarszczoną ze wstążeczki w odpowiednim kolorze.

A oto inna znowu różyczka zrobiona z różowego „nion” (rysunek 4). Każdy płatek—to kwadracik materiału złożony na pół w trójkąt i zmarszczony (rysunek 4-a). Na środku-

Łatwiejsze do wykonania są kwiatki złożone z czterech płatków a wykonane zręcznie z tafetowej wstążeczki na 1½ ctm. sze-

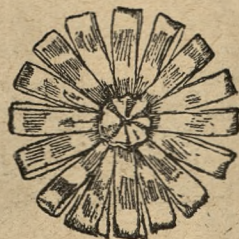
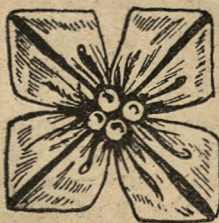
we płatki bierze się mniejsze kwadraciki na zewnętrzne płatki — większe i składa się je jak na rysunku 4.



Rys. 2

Rys. 3

Rys. 4



Co będziemy nosiły tej wiosny?

Paryż, w marcu 1925 r.

Oto rozpoczęła się wiosenna, wystawa modeli wielkich krawców paryskich, a tem samem zaczynamy już sobie zdawać sprawę, co w tym sezonie będzie noszone. Jakże mi żal, moje drogie czytelniczki, że nie możecie mi towarzyszyć w tej wędrówce poprzez nasze przybytki mody nowoczesnej — bo doprawdy żaden opis nie jest w stanie oddać wiernie wszystkich subtelności tych najnowszych kreacji!

Pomówmy naprzód o rzeczach zasadniczych — ogólnej linii nowoczesnej mody. Pisałam wam już w jednej z poprzednich korespondencji o pewnych tendencjach do wskrzeszenia linii z epoki Cesarstwa, powiedzmy ściślej — Dyrektora. W tym stylu jest cała wystawa Poiret'a, który, jak utrzymują, nie chce nawet myśleć o żadnym odstępstwie od tej zasadniczej linii. Jednakże trzeba przyznać, że jest on w tych tendencjach mniej lub więcej odosobniony — a ponieważ jest on ponadto najdroższym z paryskich mistrzów toaletowych, nie zdaje mi się, aby ta moda, której jest fanatycznym niewolnikiem, stała się popularną.

W przeciwieństwie do Poiret'a, który propaguje modę stanu krótkiego, umieszczonego nieledwie pad pachami, firma Premet lansuje suknie przepasane omal że nie pod kolanami. Są to przeważnie „koszulki” gładkie, o prostych linjach, przecięte jakimś haftem, czy galonem na wysokości kolan. Tego rodzaju modele wymagają figury niezwykle wysokiej i szczupłej, a więc nie można im chyba też wróżyć wielkiego powodzenia.

Zdaje mi się, że najlepszym wyjściem z tej trudności będzie dla nas... trzymanie się złotego środka. Dla toalet wieczorowych radziłabym utrzymać się przy stylu „Lanvin”, który jest zawsze noszony, gdyż doprawdy w sukniach tego typu wygląda się młodo i elegancko.

Muszę Wam donieść, że kostjum *tailleur* nie jest w tym roku wcale modny. Używa się go tylko do sportu i podróży, w mieście natomiast nie nosi go się wcale. Upadek jego datuje już od zeszłego lata; próbowano go wskrzesić na wiosnę, lecz bezskutecznie, zastępują go tak modne teraz kostjumy „trois pieces” i „deux pieces.” Pierwszy z nich składa się z sukni, tiuniki i żakietu, drugi z sukni całkowitej i z żakietu. Za-

kiety teraz wydłużyły się niezmiernie i przybierają kształt prawdziwych „redingotes”, które w potrzebie mogą służyć i za okrycie. Robi się je trochę wcięte w pasie, a nawet w niektórych firmach widziałam modele z plecami przeciętymi szwem, trochę w stylu Ludwika XV. Jeśli kostjum taki jest dobrze skrojony i odrobiony, wygląda to niezwykle szikownie i elegancko.

Często robi się także okrycie w innym kolorze niż suknię, co jest bardzo ładne. Widziałam sukienkę z białej popeliny, przybraną galonem i guziczkami w kolorze czarnym, z długą „redingote” z czarnej popeliny — prześliczny model. Najczęściej jednak widuje się te kombinacje we wszystkich odcieniach *beige*. Przed kilku dniami w hallu jednego z wielkich hoteli na polach Elizejskich spotkałam młodą osobę, ubraną niezwykle wytwornie, choć skromnie, w kostjum z gładkiego sukna w kolorze *mastic* o odcieniu różowym, maleńki kapelusik filcowy w tymże kolorze, a rękawiczki pantofelki i pończoszki dobrane w tym samym odcieniu tworzyły całość prawdziwie harmonijną i elegancką.

Bardzo modne są teraz samodzielne, t. zw. „homespun” w odcieniach szarym lub brązowym — taki przynajmniej jest odcień zasadniczy, bo materiały te są tkane z wełny w kilku kolorach, zlewających się w pewien ton ogólny.

Wspomniałam już poprzednio o modzie koronek, które się widuje wszędzie, szczególnie cienkie przejrzyste koronki w kolorze *ecru*, noszone na obcisłych spodach z atlasu, oraz niezliczone kombinacje żabotów z koronek i tiulu jedwabnego, riuszki i t. d.

Oto jedna z takich przemiłych sukienek, którą oglądałam przy *rue de la Paix*: na spodzie z płowego *crêpe-de-chine*, połączonego z tiulem w tymże odcieniu, cieniutka korona *ecru*, wcięta, dopasowana do talji i zakończona u dołu pasem z futra w kolorze ciemno-brązowym. Wygląda to wszystko razem lekko, powiewnie, młodo, a jednak może być noszone przez panie, które już przekroczyły czterdziestkę, czyli będące w tym wieku niezdecydowanym, którego żadna kobieta

bliżej określać nie lubi. Tego rodzaju tualeta, którą można nosić na zmianę z rękawami długimi lub krótkimi, może być stosowaną zarówno na popołudniowe przyjęcia, jak i na wieczór.

Niechże więc panie, mające w swych zapasach ładne koronki, nie zapominają, że teraz nadszedł czas wydobycia ich z ukrycia. Nawet koronki *Chantilly* powróciły do łaski mody, błagam was jednak moje czytelniczki, jeśli, te które posiadacie, są prawdziwe, nie tnijcie ich barbarzyńskimi nożycami i starajcie się skombinować taki fason sukni, któryby wam pozwolił pozostawić je nietknięte.

I jeszcze jedna rada w sprawie koronek: panie, które nie są zbyt nio „*versées*” w dziedzinie mody, lub też nie mają bardzo zręcznej krawcowej, obeznanej doskonale z duchem czasu, niech będą bardzo ostrożne przy konfekcjonowaniu sobie sukni koronkowej. Miałam już niejednokrotnie sposobność zauważyć, że jeśli suknia taka nie jest dobrze wykonana, wygląda niemiędko i nadaje odrazu swej właścicielce typ „damy z prowincji”, lub osoby z żurnala 1880 r. Mieście się więc na baczności przed tem niebezpieczeństwem, drogie moje Czytelniczki, pamiętajcie, że w tych rzeczach trzeba albo iść do bardzo dobrej krawcowej, albo mieć samej bardzo dużego gustu i poczucie stylu nowoczesnego.

Na suknie wieczorowe używa się bardzo często koronek farbowanych na różowo, zielono, lub niebiesko, czasami nawet w kilku odcieniach jaśniejszych i ciemniejszych. Zachwycałam się niedawno jedną taką tualetą, którą widziałam na pięknej blondynce o typie tycjanowskim i śnieżno-różowej karnacji. Miała ona suknię z koronki złocisto-brązowej, jaśniejszej u góry a przechodzącej ku dołowi przez wszystkie odcienie rdzawo-kasztanowate, by wreszcie zakończyć się jakąś nieokreśloną, ciemno-brunatną czerwieńią. Wszystko tu układało się w harmonijne fałdy na obcisłej tiunice ze złocistej krepki i tworzyło całość po prostu bałeczna.

Możeście jeszcze nie słyszały, drogie Czytelniczki, że w Paryżu żadna „szanująca się” kobieta nie może się obejść bez naszyjnika z pereł? — skądże na to biorą pieniądze? — zapytacie mnie może. Uspokójcie się — pereł są wprawdzie drogie, ale tylko prawdziwe. Tymczasem zaś najmodniejsze są własnie pereł sztuczne, kolorowe, bardzo duże — a do każdej tualety trzeba mieć inny naszyjnik w dobranym kolorze!

Hrabina Annie



MODA NA SCENIE

Podobno w Paryżu suknie zaczynają być nieco dłuższe i nieco bardziej zapięte, kursuje anegdota o tem, że nawet „Naga kobieta” poszła się ubrać. Ale Warszawianki dumne ze swych przysłowiowo ładnych nóżek, o ile skwapliwie przyjęły modę krótkich spódniczek, o tyle z trudem zgadzają się ją porzucić. Tendencja zwyklowa wciąż trwa, szkoda, że moda to nie giełda.

Chcę pisać o sukniach z „Nagiej kobiety” granej w teatrze Letnim, i polecić Ci gorąco, miła Czytelniczko, choć brzmi to może paradoksalnie, jako pomysły do wiosennych tualet suknie „Nagiej kobiety” odtworzonej przez panią Miłę Kamińską. Są to tualety oryginalne i pomysłowe, a przytem tak dystygowane, że mogłaby je włożyć najlepiej wychowana panna, idąc na five o'clock do najstarszej ze swych ciotek. Suknia z pierwszego aktu, rodzaj robe manteau koloru jasnej musztardy za całą ozdobę ma wielkie wyłogi z białej georgetty Brzeg wyłogów tworzą spore kwadraciki z jaskrawo zielonego crépe de chine'u. Prawy wyłóg zachodzi bardzo nisko i jest zakończony długim jak suknia chwastem z zielonego jedwabiu chiné. Na biodrach klapy, takie jak te, któremi się zwykle maskuje kieszenie palt i żakietów, — nadają one sukni charakter wybitnie spacerowy. Z pod tych klap spływają boczne części sukni głęboko zafałdowane i dłuższe niż tył i przód. Jest to pierwsza jaskółka mody sukien kloszowych, których powrót nam zapowiadają. Obcisłe długie rękawy, wysoki kapelusik musztardowy z zielonem wywinięciem, zamshowe pantofelki i pończoszki koloru sukni (nie cieliste!) wykończają całość niezmiernie wdzięczną i młodą. Suknia z trzeciego aktu jest może jeszcze ładniejsza: długa tiunika z plisowanego crepe de chine'u, zakończona obramowaniem morelowem na morelowej podszewszewce, którą widać na cztery palce. Na złączeniu kremowego z morelowem rozrzucone gdzieś niedzie malowane motywy kwiatowe w odcieniach mocno morelowym i szmaragdowym, Takież motyw zdobi pelerynkowy kołnier, a od niego spływa prawie do ziemi pęk barwnych aksamitek.

Natomiast w drugim akcie uroczą ta artystka ubrana jest wyłącznie w męskie palto i olbrzymi cylinder spadający na oczy. Tej tualety nie radzę Ci kopjować, miła Czytelniczko, nie radzę Ci także naśladować ładnych skądinąd tualet pań Walewskiej i Gorczyńskiej.

grają one bowiem wesołe córy Cytery i są ubrane odpowiednio krótko i wyzywająco. Wąska i obcisła suknia pani Walewskiej z rubinowego velours chiffon, zahaftowana w dole metalowemi paciorkami ma także rubinowe długie okrycie zakończone modną obecnie imitacją szensyli. Panna Gorczyńska otula swą smukłą sylwetkę lilas-rouge obszerną peleryną z wielkim stojącym kołnierzem ze złotej koronki. Podobno — szanująca się Paryżanka posiada do każdej sukni dopasowane okrycie, — niestety my możemy o tem tylko marzyć. Naogół trzeba przyznać, że „Naga kobieta” hudzi wiele apetytów tualetowych.

* * *

Ubiór panny Broniszówny w „Lamianie” Claudela nasunął mi refleksję na temat niewyzyskania przez nas nastroju barwy. Suknia panny Broniszówny koloru krwi, obcisła i drapowana nosi piętno wybitnie współczesne, nie mając przytem żadnych cech jakiejś mody sezonowej. W pierwszym akcie narzuca panna Broniszówna na tę suknię długi, szary szal, wygląda to jak płomień drzemięcy pod popiołem. W drugim akcie szal dziwnej barwy ołowianego fioletu w połączeniu z czerwienią sukni przywodzi na myśl krwawy zachód słońca przed burzą, i łączy się znakomicie z wzrastającym napięciem akcji. A, w końcu czerwony szal. Cała postać skąpana w krwawej czerwieni, w łunie pożaru, spalająca się w ogniu własnych, nieugaszonych żądz. Doprawdy nadzwyczajne efekty można wywołać umiejętnem stopniowaniem połączonych barw.

* * *

Gdybyś miała, Czytelniczko jakieś wątpliwości, co do tego, czy obecna moda jest estetyczna, radzę Ci pójść zobaczyć peniuar pani Duleby w pierwszym akcie „Romansu Kryminalnego”. Jest to elegancki, różowy, jedwabny peniuar, ostatni krzyk mody z przed lat dwudziestu. Czego tam niema! Są trzy kloszowe, szerokie falbany otoczone ciemną aksamitką, biała koronka aż do ziemi, olbrzymia kokarda na samym biuście i na wszystko jeszcze jedwabny, różowy szal. Całość wydaje się dziwnie przeładowana i niezgrabna wobec wąskich i krótkich koszulek zastępujących nam obecnie suknie. O ileż awantażowniej wygląda ta sama artystka, ubrana, współcześnie w złocisty, jedwabny płaszcz, bramowany bibretami. Cylinder z brunatnej felpy, ozdobiony z przodu

pięknym krossem, cieniowanym od koloru brunatnego do „champagne” dopełnia harmonijnej całości. Szkoda, że suknia, która ukazuje się po zdjęciu płaszcza jest pomyślana mniej szczęśliwie. Na wąskim spodzie z czarnego jedwabiu bluzka do kolan w szerokie pasy białe i jasnobronzowe. Związanie wysokiego kołnierza dużym krawatem z czarnego jedwabiu wygląda szwankownie i sportowo. Wbrew tylokrotnie omawianemu zwyczajowi artystek warszawskich przestrajania się na scenę, pani Modzelewska była ubrana aż za skromnie. Tak mogła się oczywiście ubrać, o ile miała wyjątkowo skromne gusta, córka najbogatszego człowieka w Szwecji, ale napewno ubierała się bogaciej. Sukienka tenisowa biała w szarą kratę, gładka, z paseczkami na biodrach, sukienka fioletowa, haftowana stałą, za poważna może w kolorze dla tak młodej panienki i coś w rodzaju granatowego mundurka. — Śliczną, staroświecką tualetę starej damy miała pani Czaplińska. Czarna tafta z fiołkowym przybraniem, „fichu” z białej koronki. Dół szerokiej sukni zakończony plisą (ongiś nazywało się to wodą). Pani Czaplińska wyglądała w tym stroju jak groteskowa, dobra wróżka z bajek Selmy Lagerlöff. W. L.

NASZE OGRÓDKI

Względna równowaga, do jakiej, wolnym krokiem wraca nasze życie codzienne, po wstrząsach tragicznej wojny i niezdrowej atmosfery inflacji, pozwala wybranym jednostkom myśleć o uwiciu własnego gniazda.

Coraz częściej zdarza się widzieć na krańcach miast, lub w specjalnie powstałych dzielnicach, szeregi willi i domków mniej, czy też bardziej komfortowych — zależnie od środków tych, którzy je wznoszą!

Stylowe, wspaniałe i bogate siedziby, projektowane przez artystów — architektów, pozostawimy na boku; omawiać ich otoczenie, radzić, lub planować, czem urok ich podnieść, byłoby wprost świętokradztwem — wszystko przewidziały z góry dwie potęgi: sztuka i pieniądz.

Szerokie pole do pogawędki nasuwa natomiast — skromny domek mieszkalny, wzniesiony po to, by osłonić swemi ścianami egzystencję równą, cichą, złożoną z łez i uśmiechów, jakie tysiącom istnień przypadły w udziale. Bez względu na to, gdzie stoi on,

na krańcach Warszawy, Poznania, czy Krakowa, w prowincjonalnym mieście, czy osadzie fabrycznej, jest zawsze i niezmiennie źródłem rozkoszy dla tych, którzy wzniesli go swymi siłami, a czerpią zeń bezcenne przeświadczenie, że im pod własnym dachem żyć i umrzeć sądzono.

Typ nowoczesnych domków mieszkalnych, nie umie obejść się bez skrawka ziemi pod założenie najskromniejszego chociaż ogródka. O wykorzystaniu i użyciu go celem wydobycia największej skali uroku z otoczenia domu, pomówić pragnę.

Chcąc stworzyć coś prawdziwie ładnego, trzeba przede wszystkim pamiętać o sezonach, bacząc, aby klomby i grządki nasze nie świeciły nigdy pustką i smutkiem okwitniętych roślin.

Zacznijmy zatem przegląd od najsmutniejszej pory roku t. j. zimy, która nie wszystkie rośliny życia i uroku pozbawia. Kilka srebrnych świerków, rabaty obrzeżone mahoniem, bogatym w liście, jak rok okrągły, bukszpany stożkowato strzyżone, oto łatwe do prowadzenia, a wdzięczne rośliny, które nawet w czasie najcięższej zimy nie pozwolą, aby ogródek nasz zmienił się w cmentarzysko wspomnień szare i smutne. Jak cudnie, na rozłożystych ramionach świerkowych wygląda śnieg, lub sadz, którą figlarz mróz, drzewa i krzewy, po mglistej nocy, stroi.

Najwdzięczniejsza i najładniejsza pora, zaczyna się z pierwszym ciepłym powiewem wiosny! Witają ją zwykle cudne, wonne oczka fiołków, wsianych w trawniki, a rozrastających się z roku na rok, tak obficie, że po dwóch, trzech latach, zaścielają trawę, tworząc barwne, wonne, wspaniałe plamy. Równocześnie na klombikach i rabatach strzelają ku słońcu jedne, po drugich hiacynty, krokusy, żonkile, tulipany, narcyzy, a wreszcie lilje irisami zwane. Wszystkie te rośliny cebulkowe, są mało kosztowne, a przy umiejętnym hodowaniu z paru cebulek dochować się można w ciągu kilku lat wonnego, barwnego, bogactwa kwiatów. Narcyzy i irisy, dorabiają rok rocznie po parę cebulek, najlepiej nie ruszać ich z miejsca, a okopując i nawożąc odpowiednio pozwolić rozrastać się dowolnie.

Narcyzy w parę lat z pojedynczo sadzonej rzadkiej obwódki rozrastają się w przebogaty szeroki wał, który po zakwitnięciu, szczególnie wczesnym, rośnym rankiem, jest wprost cudowny!

Jako dopełnienie roślin cebulkowych z wiosennych tanich i łatwych kwiatów mamy jeszcze do rozporządzenia niezapominajki, bratki i wielkookie, białe, różowe i rubinowe stokrocce. Wymienione powyżej kwiaty wystarczą, aby najmniejszy i najskromniejszy ogródek zamienić w ciągu pierwszych miesięcy wiosny w prawdziwie uroczy raj. Kilka sztamowych bzów o różnorodnych odcieniach kwiecia—jaśminy, krzewy zwyczajniejszych, a nierównie barwnych i wonnych bzów, służą doskonale do odgradzenia ogródka naszego od sąsiadów, drogi, lub ulicy. Doskonale też nadają się do tego żywopłoty, które umiejętnie strzyżone i prowadzone, w lat kilka, odgradzają nas zwartym murem od ciekawych, a niedyskretnych oczów.

Lato jest tak bogate w różnorodne kwiecie, że z szeregu nazw wybrać trudno. Ponieważ mówimy o ogródku skromnym, który same kultywować mamy—dajmy więc pierwszeństwo najłatwiejszym. A zatem: pelargonje wszelkich barw i odmian, kolorami dobierane i sadzone, w klombach, skrzyniach, u okien i balkonów, gwoździki, lewkońce, flance których łatwo dostać można—krzewy tytoniu białego, dekoracyjne i cudownie o zachodzie słońca pachnące, groszki nietrudne do hodowania a śliczne, barwne i wonne. Płomienne nasturcje, dziesiątki odmian astrów od niziutkich karłowatych do wspaniałych, ogromnych, chryzantemowych, które późną jesienią jeszcze kwitną i dopiero mróz odbiera im barwne berło kwiatu. Jako obsiewki rezeda i maciejka (matiola), która pachnie wprost upojnie, a wsiewana co dwa do trzech tygodni trwa całe lato i o zachodzie słońca, kwiatki rozwiera, aby woń cudną rozciąć dokoła!

Na kolumnienki ganku, lub całe ściany domu ślicznie rzucić krzewy pnącej róży, która kwitnie obficie



pełkami drobnych pełnych różyczek blado różowych, lub malinowych, wplatając między krzewy rózne dzikie wino, które jesienią gra wszystkimi odcieniami złota i purpury.

Umiejętny dobór i staranna hodowla roślin i krzewów mogą łatwo zamienić taki maleńki skrawek ziemi w kwietny raj, a z szeregu dni i godzin, spędzonych przy uprawie i pielęgnowaniu maleńkich roślinek, które staraniem naszym silnie rozrastają się i wonnemi, barwnymi kwiatami strzelają ku słońcu, rodzi się taka moc przywiązania i taki ogrom zadowolenia, że nawet bardzo szarą egzystencję ozłocić są zdolne.

Trud, którego owocem są rośnię, wonne grzędy mocen jest rzucić barwny, radosny promień na ścieżkę szarego życia, ścieżkę, która wije się zdala od źródeł rozkoszy, i dać duszy kobiecej chwilę prawdziwej radości, płynącej z poczucia stwarzania doskonałego piękna!

Z pragnień i snów, które się z życiem na kształt motyli, barwnych chmur rozlatują po świecie—jedno żyje najdłużej w duszy każdego człowieka — pragnienie własnego domu, a jeśli się ten złoty sen ziści, powstaje pragnienie nowe, ulepszenia i upiększania bez końca. W wielkiem i radosnem tem dziele króluje zawsze kobieta jak dobra wróżka, która czar rozsiewa dokoła. Niechże wielkie i ważne zagadnienia chwili obecnej i owocność kobiecej pracy na tyłu ważnych i poważnych polach, nie wytrąca z jej czarodziejskich rąk, berła szerzenia piękna. W

PRANIE FIRANEK I KORONEK

Koronki, powracające do mody, nasunęły mi myśl udzielenia moim Czytelniczkom wskazówek, dotyczących prania ich i suszenia. Dziśsze koronki, tak jak i wszystkie obecnie modne różnią się bardzo od przeszłości, ostatni wyraz mody obecnej, koronki kolorowe, na podkładzie siatkowego tiulu, w duże desenie, mają się tak do pajęczych tkanin naszych prababek—jak zmysłowe shimmi, lub tango do pełnego godności i wdzięcznego menueta. A jednak te dawne, mają zawsze swoją wartość i swój specjalny urok, którego za pieniądze nie nabędzie ten, kto pomimo łatwości wydawania, nie umie poznać się na nich — ani ich ocenić. To też trzeba uczyć się je pielęgnować, jak drogie wspomnie-

nie i umieć uszanować je, bo w nich leży podwójne bogactwo realne i ideowe. Nieraz te brudne gałganki, będące w posiadaniu osób nie znających się na nich — byłyby prawdziwym bogactwem i wielką ozdobą niejednej toalety.

Aby te drogocenne zabytki wydały się tem, czem są istotnie, trzeba doprowadzić je do porządku — wyreperować starannie i uprać. Naprawianie koronek prawdziwych, potrzebuje specjalnego uzdolnienia. Niteczką jak pajęczyna, cienutką, krótką igielką — zarabia się ścięgami koronkowymi uszkodzone miejsca.

W tak zwanych aplikacjach, o ile tiul, na którego podkładzie są robione, zleżały jest lub podarty, trzeba przenieść deseń na świeży tiul. Jest to robota trudna, nadzwyczaj delikatna i potrzebująca uzdolnionych rąk specjalistki.

Przeciwnie — uprać najcienisze choćby koronki może każda staranna, a nadewszystko cierpliwa kobieta. Zebrawszy ząbki i brzegi koronki na cienką nitkę — nawinąć ją trzeba na wałeczki, obszyte płótnem tak, aby ząbki były zawsze nakryte brzegami następnego rzędu — namydlić te wałeczki delikatnym mydłem i wycierać w rękach, w ciepłej wodzie. Czysty, aluminiowy rondel wyłożyć grubo płótnem, ułożyć w niem koronki, nalać ciepłym mydłem, rozgotowanym w wodzie i gotować kwadrans. Po wygotowaniu wylać na porcelanową misę, gdy przestygną wytrzeć jeszcze w tych mydlinach i wypłókać w wodzie z odrobiną farbki, koniecznie w najlepszym gatunku. Po wyjęciu koronek z wody, wycisnąć je w czystym płótnie, odwinąć z wałeczków, roztrzeć delikatnie i mokre zaraz rozpinać starannie, maleńkimi, nie rdzewiejącymi szpileczkami, tak aby każdy ząbek był przypięty — a deseń dobrze rozciągnięty, uważając naturalnie, aby nie uszkodzić koronek. Rozpinać najlepiej na stoliku od kart, nakrytym prześcieradłem, lub na desce od prasowania. Nie mniej dobrym jest sposób prania koronek, stosowany przez koronczarki w Belgji i Holandji, gdzie nieraz nad przepięknym welonem lub falbaną pracują trzy pokolenia. Na pięć garnicy wody bierze się 100 gr. boraksu, skoro się woda zagotuje, wrzuca się w nią boraks, a gdy się rozpuści zanurza się nawinięte na wałeczki koronki i trzyma w niej pięć do dziesięciu minut. Następnie wypiera się je, wycierając parę razy w ciepłym, rozgotowanym mydle, a po wypłókaniu starannie rozpina — pamiętając, że od rozpięcia zależy piękność koronki. Prane

w boraksie są bielsze, a zwłaszcza sztywniejsze jak pierwszym sposobem.

Białe tiul i hafty, złożone w kilkoro, sfastrygowane miękką bawełną bez supelki pierze się również w boraksie — tiul rozpina się do wysuszenia, a hafty, przeciwnie gęsto fastrygę i wysącywszy z wody w ręczniku, prasuje się po lewej stronie przez cienkie płótno, aby nie przyżółcić, mocno wyciskając z dołu do góry deseń. Bardzo dziś modne jedwabne koronki Chantilly i hiszpańskie pierze się, nacierając mieszaniną miodu, mydła i spirytusu. Owinięte na wałeczkach koronki, wyciskając, polewa się letnią wodą, a skoro zupełnie już czyste, odwija się z wałeczków, wytrzepuje z wilgoci i rozpina do wysuszenia. Zwyczajne, tańsze koronki, pierze się w rozgotowanym mydle, nie trąc, a wyciskając, gotuje w wodzie z proszkiem mydlanym, a po wypłókaniu wyciska z wilgoci i prasuje na pół przesuszone przez batystę po lewej stronie. Chcąc aby były sztywniejsze dodać do płókania listek rozpuszczonej żelatyny. Zrudziałe, czarne tiule i koronki pierze się w sposób następujący: na miednicę nalać wody gorącej — stosownie do jej ilości nalać jedną, dwie lub trzy łyżki żółci wołowej, zamoczyć w tej mieszaninie koronki, lekko wyprać, wyciskając, a nie trąc, powtórzyć tę czynność parę razy, następnie płókać w zimnej wodzie, dopóki nie wyjdzie zupełnie zapach żółci. Ostrożnie wycisnąć i raz jeszcze wypłókać w ciepłej wodzie z małą domieszką żelatyny. Po osączeniu z wilgoci, rozciągnąć na czarnym muslinie i nie dosuszone prasować przez bibułę. Mniej brudne, czarne koronki, macza się po kilka razy w spirytusie i zaraz prasuje przez grubą bibułę. Piorąc suknie tiulowe lub etaminowe, macza się je kilkakrotnie w occie, do którego dla sztywności dodaje się trochę cukru. Po wyjęciu i roztrzeć tiulu, wyciągnąć go dobrze na czarnym podkładzie i prasować zaraz przez bibułę. Skoro mówię o koronkach i tiulach, nie mogę pominąć firanek, zwłaszcza, że przy zbliżającej się wiośnie każda gospodyni stara się pozbyć kurzu i dymu zimowego z tej największej ozdoby naszych mieszkań. Po starannym wytrzepaniu i naprawieniu firanek, trzeba każdą złożyć w trzy części, tak aby środek najbardziej przez słońce spalony był wewnątrz, sfastrygować miękką bawełną bez supelków i wypłókać z kurzu w sposób następujący: nad wanną trzymać sztywno w dwie osoby, rozciągnięta, zeszytą firan-

kę — trzecia osoba polewa ją z góry przez sitko. — W ten sposób usunie się z niej resztę kurzu, pozostałego po wytrzepaniu. Następnie włożyć w drewniane naczynie, poleć letnią wodą i zostawić tak na noc. Rano, zwiózczając firanki kładzie się do ciepłych mydlin, zmieniając je trzykrotnie na coraz gorętsze. Piorąc firanki nie można ich trzeć, ani wyżymać tylko wyciskać z brudu, a płasko ułożone wygniatać z wilgoci. Chociaż gotowanie firanek dużo ma przeciwników, jednakże jestem zdania, że obejść się bez niego nie można. Jeżeli firanki są w dobrym gatunku, a osoba piorąca je, uważna, nic im się nie stanie. — Trzeba tylko konieczne wyłożyć dno kotła grubym płótnem i obficie nalać przedczoną, miękką wodą z proszkiem mydlanym „Blask“ lub innym i gotować dziesięć do piętnastu minut. Nie można gotować razem firanek kremowych z białymi, bo zafarbuja je.

Po należytem wypraniu z gotowania wypłókać firanki w kilku wodach, do ostatniej dodając rozpuszczonego krochmalu 100 gr. do dwóch okien. O ile ma się dość obszerne naczynie — najlepiej krochmalic wszystkie firanki razem, o ile nie — podzielić i krochmal i firanki na równe części, aby jedne nie były sztywniejsze od drugich.

Przy wieszaniu firanek uważać należy, aby się nie wyciągnęły — bo po wysuszeniu trudno to naprawić. Najlepiej rozciągnąć je na dwóch, w pewnej odległości od siebie zawieszonych linkach i suszyć — w lecie, jeśli można na powietrzu, w zimie na górach. Na parę godzin przed prasowaniem delikatnie powyciągać z nich fastrygę, skropić i rozłożywszy na ziemi z dwóch stron szerokiego stołu prześcieradła, aby się zwiększające końce firanek nie posmolili — prasować je po lewej stronie, wyciągając podług brzegów stołu. Jeżeli pomimo to firanki nie będą gładko leżały, należy skropić je kropidłem i wyciągnąć jak potrzeba. Zakładają także firanki bez prasowania. Wtedy trzeba wysuszyć je zupełnie po ukrochmaleniu, następnie mocno skropić i zwinąć. Skoro po kilku godzinach równo nawilgną, maglować je starannie i zaraz wilgotne zakładać. Wyciągną się swoim własnym ciężarem i ładnie dadzą się drapować. Kto ma miejsca dosyć, może rozpinać firanki na podłodze, na dywanach, nakrytych prześcieradłami, a po przesuszeniu wieszać skrapiając ustami lub kropidłem.

JESZCZE O ŚWIĘCONEM.

Chyba we wszystkich zakątkach naszego kraju, jak Polska długa i szeroka, istnieje zwyczaj zdobienia stołów Wielkanocnych zielenią. Używają do tego barwinku lub liści wiecznie zielonych borówek, a obrusy upinają festonami z licopodium, robią różne piramidy, krzyże i inne figury z młodej rzerzuchy, zasianej na pokrytych pakułami podstawach, stawiają wazoniki z posianym gęsto owsem. Z tych ozdób ludowych piramida z rzerzuchy w środku ozdobiona wspaniałą główką wieprza, lub dzika, trzymającego w pysku, pomiędzy groźnymi kłami, barwną kraszanekę, może stanowić ozdobę najwspanialszego święconego. Poza tem wszelkie wiosenne kwiaty, hiacynty i tulipany, azelje i popielniki (cynerarje) primulki i laki, cudownie zdobią stół i nawet, jeśli na dworze jeszcze chłód i szaruga, mówią nam o wiosnie, której symbolem jest Święto Zmartwychwstania. Zresztą wszelkie sposoby ozdabiania stołów, są rzeczą zupełnie indywidualną, zależną od gustów, środków i przyzwyczajęń poszczególnych gospodyń. Strona kulinarna jest bardziej ujednostajniona, na każdym stole figuruje szynka lub jej surogat, baleron czy golonka gotowana, wszędzie leżą zwoje świątecznych kiełbas, zawsze się złoci cielęca pieczeń, schab lub indyk, sztufada lub pasztet, mienią się tęczowemi barwami kraszanki a szeregi bab i mazurków, (torty są raczej miastową naleciałością), świadczą swym wyglądem o umiejętności i pracowitości gospodyni domu. Ślicznie taki stół wygląda, — zjeść wszystkiego od razu nie sposób, tymczasem pozostawione na noc w opalonym pokoju dania mogą ulec zepsuciu, kot lub pies domowy może poważne szkody w nich uczynić. Za pobiegliwa gospodyni musi z góry sobie obmyśleć, w jaki sposób to wszystko przechować przez dni kilka. Najmniejszy stosunkowo kłopot jest z mięsiami, każdy półmisek owinąć w trzy lub cztery warstwy papieru i wynieść do chłodnej spiżarni czy też wystawić na balkon, a te kilka warstw papieru doskonale ochronią od obeschnięcia i utraty właściwego aromatu.

Z babkami i jajami postępuje się tak samo. Najgorzej jest z mazurkami, których się robi przynajmniej kilka, i które, cienkie i płaskie, masę miejsca wymagają. W każdym domu powinny być specjalne deseczki, przechowywane z roku na rok, rozmiarów zwykle pieczo-

nych mazurków, pokrywa się je ładnym fryzowanym lub otoczonym koronką papierem i na nie układa gotowe, ulukrowane lub ozdobione mazurki. Chroni to obrus od przecięcia przy krajanu ich i ułatwia ich przenoszenie.

Otóż należy jakąś starą skrzynkę drewnianą odpowiednich rozmiarów zaopatrzyć w szereg listewek bocznych, na któreby można było wsuwać deseczki z mazurkami, poczem taką skrzynkę można wynieść całą do spiżarni lub jakiego, niezamieszkałego pokoju. Raz urządzona tak skrzynka może służyć lata całe i odda nieocenione usługi, gdyż na niedużej przestrzeni można tak przechowywać kilka lub nawet kilkanaście placków i mazurków. Należy tylko piec je wszystkie jednego rozmiaru, co nawet przy ustawianiu Święconego, estetyczniej wygląda.

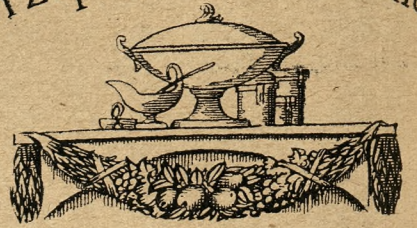
Półmisek przechowane przez noc, rano wracają na swoje dawne miejsca, stołu nie trzeba na nowo przykrywać, kwiaty tylko podlać i zmieść okruszki z dnia poprzedniego. Po paru lub kilku dniach spożywania zimnych mięsów, pozostaje duża ilość okrawków, które praktyczna gospodyni użytkować powinna.

Przedewszystkiem wszelki zbyteczny tłuszcz od szynki, starannie przechowany, może służyć do tak przez kresowców wschodnich ulubionych „szpekuchów“. Są to pasztetki z drożdżowego ciasta, nadziewane drobno krajaną słoninką z dużą ilością przesmażonej cebuli, jest to wyborny dodatek do barszczu, zupy szczawiowej, i innych zup kwaśnych. Kto nie zna szpekuchów, lub ich nie lubi, niech użyje tej słoniny do polewania pierożków z mięsa, do których obfitego materiału dostarczą suche kawałki pieczonego lub resztki jego, pozostałe przy kościach.

Tradycyjalny polski bigos też tem smaczniejszy będzie im większą różnorodność włożymy doń różnych wędlin, mięsów i zwierzyny. Przy duszeniu kapusty na bigos można do niej włożyć i wszelkie kości od szynki i mięsów, przed zaprawieniem ostatecznym, należy je wszystkie usunąć. Na kościach z szynki robi się wyborny kapuśniaczek i grochówkę. Resztki pasztetu mogą być użyte do nadziania naleśników. Jaja na twardo długo stać nie mogą, należy je zużyć do zupy szczawiowej, lub na przekąskę z sosem musztardowym. Ciasta Wielkanocne mają tę zaletę, że bardzo długo nie czerstwieją, cały więc ich nadmiar napewno zawsze będzie zjedzony przy podwieczorkach i kolacjach, a dobre mazurki nawet czas dłuższy deser poobiedni zastąpić mogą.

Pani Elżbieta.

Przepisy gospodarskie



BABKA MIGDAŁOWA NA SAMYCH BIAŁKACH.

Przy robocie bab zaparzanych, waniliowych, petynetowych i innych, do których się używa samych żółtek, pozostaje dużo białek, które należy użytkować natychmiast. Bardzo dobrą babkę można zrobić w sposób następujący: Kubek utartych migdałów słodkich, kilkanaście gorzkich, zmieszać z 400 gr. pudru cukrowego, lub cukru utłuczonego i przesianego przez muślin i z kubkiem najdrobniejszych kruszków gryczanych, tak zwanego maczku. Szesnaście do dwudziestu białek ubić na chłodzie na tak sztywną pianę, żeby przyciśnięta palcem do niego nie przylegała. Do migdałów dodawać po łyżce tej piany, mieszając starannie, aby się uformowała jednolita masa, a białka nie opadły. Mieć płaski rondel, wysmarowany obficie masłem i wysypany bułeczką, wlać w to masę i natychmiast wstawić do niezbyt gorącego pieca, gdyż nietylko zrumienić się babka powinna, lecz i mieć czas na wybrzęknięcie kaszki. Po trzech kwadransach próbować, jeżeli po wierzchu ładnie rumiana i wewnątrz do patyczka wetkniętego nie przystaje, wyjąć, potrzymać minut dwadzieścia w rondlu, poczem ostrożnie wyrzucić na poduszkę, pokrytą płótnem, aby nie opadła.

BABA CHLEBOWA.

Ususzyć czysto-żytniego, razowego chleba, utłuc go w móżdżerzu, przesiać przez sitko (mąki chlebowej powinna być pełna szklanka); pieć goździków, kawałek cynamonu, trochę utartej skórki cytrynowej, wszystko najdrobniej utłuczone, 400 gramów pudru, lub jak najdrobniej utłuczonej rafinandy, i szesnaście jaj. Żółtka utrzeć z cukrem do białości, dodać zapachy, — białka ubić na jak najsztwniejszą pianę, po łyżce mieszać z żółtkami, przesypując jednocześnie łyżkami mąki chlebowej.

Gdy się dokładnie wymiesza, natychmiast, aby piana nie opadła, przełożyć do rondla, wysmarowanego masłem i wysypanego sucharkiem i piec około godziny w bardzo umiarkowanym piecu. Przy

wyjmowaniu z pieca zachowywać jak największą ostrożność, aby nie opadła. Najlepiej jest, po wyjęciu z pieca potrzymać jeszcze w ciepłym miejscu w formie 15 do dwudziestu minut, poczem wyrzucić ostrożnie na miękką poduszkę, pokrytą płótnem, lub papierem.

BABA Z ROŻNA (SĘKACZ).

Baby tej chyba nikt nie robi u siebie w mieście, gdyż należy mieć do niej kominek szeroki lub piec piekarniany, rożen z całym przyborem, wałek lekki, drewniany, pusty we środku, który się na rożen zakłada, trzeba do tej roboty przynajmniej trzech osób i t. d. Natomiast może niejedna młoda, wiejska gosposia, zechce skorzystać z tego, wielokrotnie u mnie i u moich rodziców wypraktykowanego przepisu i ozdobić swój stół wielkanocny wspaniałą i smakowitą piramidą „sękacza“.

Kilo masła najlepszego, wymy tego z soli utrzeć na śmietanę, dodając po jednym 50 zółtek, i dosypując po łyżce cukru (pudru) i kilo mąki, najlepszej krupczatki, naprzemian to jedno, to drugie sypiąc. Dla zapachu dodać piętnaście gorzkich migdałów sparzonych, obranych z łupin i utłuczonych, skórkę otartą na tarce z dwóch cytryn i pół laski wanilii, utłuczonej z pół szklanką cukru. Gdy masa gładka jak śmietana, dodać białka, ubite na sztywną pianę, wymieszać ostrożnie i maku trę z ciastem wstawić w miskę, napełnioną wodą z lodem, aby piana nie opadła. Specjalnie przygotowany do sękacza wałek w kształcie wąskiej piramidy, owija się tłustym papierem i okręca mocnym sznurkiem raz przy razie i wkłada na rożen, (w tym celu wałek ma otwór przez całą swoją długość). W kominku lub piecu rozkłada się duży ogień z suchych szczap, z rozżarzonych węgli podkłada się grubą warstwę podnózek, na nich się stawia brytwanę. Wszystkie te przygotowania powinny być ukończone przed zmieszaniem piany z ciastem! Formę mocno rezgrzać przed ogniem i łyżką zacząć polewać ciasto, obracając rożen pomału, uważając, aby ciasto się dobrze rumieniło i dolewając wciąż ciasta na zrumienione miejsce. Zbierać też ciasto spadające na brytwanę i polewać je napowrót na babę. Skoro się ciasto wszystko użyje, ostatnią warstwę zrumienić najmocniej. Zostawić na rożnie zanim ostygnie, poczem ostrożnie odwinąć sznurek ze środka, w tym celu koniec jeden tego sznurka powinien być pozostawiony naze-

wnątrz. Po usunięciu sznurka baba się łatwo z rożna zdejmie.

Z tej proporcji wychodzi ogromna baba, ważąca przeszło 4 kilo. Na pierwszą próbę radziłabym użyć połowę podanej proporcji. Baba taka się nie lukruje, zęby ciasta sterczące ze wszystkich stron, stanowią jej największą ozdobę. Natomiast na wierzchu jej stawia się baranka, otoczonego zielenią lub ładny bukiet kwiatów świeżych, przyczem szklane naczynie, w którym się bukiet mieści, kryje się w otworze baby.

CHLEB Z JARZĄBKÓW LUB KUROPATW.

Cztery kuropatwy lub lepiej jarząbki, obrać jak najstaranniej i zeskrobać z kości, dodając koniecznie ich wątróbkę, mającą w sobie nieco goryczy, lecz zarazem specjalny leśny aromat. Kości i skórki wygotować w niedużej ilości wody na smak. Mięso z ptaszków przepuścić przez maszynkę z 400 gr. słoniny wędzonej, z 200 gr. bułki czerstwej, rozmoczonej w wygotowanym z kości ptaszków smaku. Dodać cztery jaja, nieco pieprzu prostego, pół gałki muszkatełowej, utartej na tarce, osolić do smaku i wyrabiać masę aż się zrobi jednolita. Uformować z tego długi klops w kształcie bochenka chleba i upiec, podlewając masłem, a przy końcu pieczenia paru łyżkami śmietany. Po zastudzeniu kroić w plastry i podawać z sałatą lub jakim zimnym sosem. Do święconego, może zastąpić pasztet, od którego jest nie mniej smaczny.

NIEKOSZTOWNY PLACEK.

Kwartę suchej, ładnej mąki rozczynić półkwartą letniego mleka i 25-iu gr. drożdży, rozrobionych w półszklance letniego mleka, lub wody. Wybić dobrze i postawić, aby ciasto podchodziło. Gdy podrośnie wybić mocno, dodać drugą kwartę mąki, pięć zółtek, utartych do białości z 200 gr. (szklanką) cukru, wlać pół szklanki sklarowanego masła, łyżeczkę soli i pół łyżeczki utłuczonego z cukrem kwiatu muszkatełowego lub kordymonji. Wyrabiać, aż ciasto od rąk odstanie. Białka ubić na sztywną pianę, wymieszać ostrożnie z ciastem, natychmiast wylać, na blachę, wysmarowaną masłem i wysypaną bułeczką, posypać

migdałami, oczyszczonymi ze skórkami i pokrajanymi w paski. Formy przykryć w kilkoro złożonym płótnem i postawić w ciepłe. Gdy dobrze podejdą, wsadzić placki do pieca gorącego. Próbować słomką, lub cienkiem drewnikiem, gdy ciasto nie przystaje, placek ma dosyć.

TANI MAZUREK.

Z dwóch szklanek mąki, pół szklanki cukru, 100 gr. masła lub świeżego szmalcu i paru łyżek śmietany zagnieść kruche ciasto, postawić je na chłodzie, aby ztężało, rozwałkować cienko, otoczyć wałeczkiem z tegoż ciasta i upiec w dosyć gorącym piecu do silnego zrumienienia. 200 gr. cukru i dwa jaja utrzeć do zupełnej białości, dodać 200 gr. orzechów włoskich, laskowych lub tureckich drobno utłuczonych, lub lepiej przepuszczonych przez maszynkę, wymieszać starannie, nałożyć tę masę równo na wystudzony, kruchy placek i wstawić na minut dwadzieścia do niezbyt gorącego pieca, aby się lekko zrumienił.

TANI MAZUREK CZEKOLADOWY

Utrzeć do białości cztery żółtka ze szklanką cukru, dodać 100 gr. utartej czekolady lub też cztery łyżki kakao w proszku, w ostatnim razie dodać kawalek (cał) wanilii, utłuczonej z paru łyżkami cukru; filiżankę utartej bułeczki i pianę, ubitą z czterech pozostałych białek. Zrobić foremkę papierową rozmiaru pół arkusza zwykłego papieru dużego formatu, wysmarować ją masłem, wysypać bułeczką, — należy to zrobić przed dodaniem piany, aby nie opadła. Masę nalać w foremkę i upiec w lekkim piecu, — poczem w zupełnie letnim piecu podsuszyć jeszcze trzeba ten mazurek. Po wyjęciu z pieca, gdy mazurek jeszcze letni usunąć ostrożnie papier, aby mazurka nie połamać.

Pani Elżbieta

DOBRE RADY

Aluminiowych naczyń nie można czyścić popiołem, sodą, ani mydłem. Najlepiej używać do nich proszku zwanego czystolinem, lub gliny.

* * *

Kto się boi, aby z braku doświadczenia nie zaparzyć drożdży, niech je pokruszy drobno, włoży w garnuszek i posypie grubo cukrem pudrem. Po krótkim czasie drożdże rozpuszczą się same.



Korespondencje działu praktycznego

Dla „Wici“

Desenie bielizniane różnego rodzaju możemy dostarczyć na zamówienie.

Dla „Sieroty“

Radzę się zwrócić do lekarza, gdyż tego rodzaju dolegliwości wymagają poważnego leczenia.

P. H. Z. z Brzeźcia.

Drożdże należy trzymać w chłodzie (nie na mrozie) szczelnie zawinięte w pergaminowy papier.

Dywanik z № 10 robi się na specjalnym warsztacie na osnowie lnianej, z wełny, jak na dywany smyrneńskie.

Numer—1, 5 i 9 „Bluszczu“ są wyczerpane — inne można otrzymać w cenie 1.40 gr. za numer.

„Złotej Muszce“.

Prosimy o adres, gdyż nie zawsze możemy podać odpowiedź w „Bluszczu“.

P. Helenie R.

Plusz należy rozciągnąć nad parą z gotującej wody, prawą stroną do góry i dłuższy czas tak potrzymać — potem prasować w powietrzu po lewej stronie, trzymając w dwie osoby wyprężony.

Prenumeratorce ze Słupcy.

Proszę przeczytać odpowiedź dla „Dokuczliwej“. Jeśli płaszczyk bardzo brudny, rozrobić ciasto z benzyny i magnezji i posmarować niem brudny przedmiot, gdy benzyna się ulotni — porządnie wytrzeć.

„Dokuczliwej“

Białe futro czyści się na sucho, wycierając kawałkiem magnezji, lub pudrem ryżowym. Skoro już czyste trzepać, póki wychodzi biały pył. Do mycia głowy najlepiej używać proszku zwanego „champoing“, który nabyć można w każdym składzie aptecznym.

Pani S : z.

Głównym warunkiem eleganckiego nakrycia stołu jest śnieżno biała, cienka bielizna. Obrus zwieszając się powinien przynajmniej na 40 ctm. z każdej strony — serwety powinny być zgrabnie złożone, tak jak w № 52 „Bluszczu“ wskazane — srebro to jest nóż i widelec, do kolacji — łyżka, nóż i widelec do obiadu kładzie się po prawej stronie talerza — na srebrnej lub platerowanej podstawce. Mała łyżeczka deserowa leżeć powinna przed ta-

lerzem — nad nią ustawia się szklanki do piwa i tyle rodzaj kieliszków, wiele win będzie podawanych. — Przed każdym talerzem stawia się solniczkę i wysoką cienką rurkę szklaną z sezonowym kwiatem — najpiękniej wyglądają róże, lub gałązki bzu — jabłoni, gwoździki, lewkonje itp. O wazoniczki opiera się kartki bristolowe (bileciki) z nazwiskiem osoby, która ma zająć to miejsce — gości sadza się na zmianę, damy i panów, dobierając znajomych i sympatyzujących z sobą. Co kilka nakryć pomiędzy talerzami stawia się ozdobnie wykonane „menu“ bristolowe z wypisanymi potrawami. — Takie karty można kupić gotowe — ale oszczędniej przygotować w domu, malowane, lub rysowane, prawie nic nie będą kosztowały, a będą miały wartość artystyczną i bardzo podniosą ubranie stołu. Na środku stołu stawia się kwiaty doniczkowe lub cięte, dobrane odpowiednio i ułożone w niskiej żardinierce — oprócz talerzy z pieczywem i owoców na kłoszach nic się więcej nie ustawia na stole — wszelkie sałaty, kompoty powinny być ustawione z boków na stole pomocniczym, nakrytym obrusem, na którym przygotować trzeba talerze, łyżki i widelce do zmiany i do półmisek — i wszystko, co może być w czasie obiadu lub kolacji potrzebne, — aby uniknąć zamętu i ułatwić o ile możności podawanie przeważnie niewykwalifikowanej służbie. Nie wiem, o jaką porę roku Pani chodzi — więc przytoczę kilka potraw do wyboru, aby zawsze złożyć z nich było można obiad lub kolację. Zaczynam od obiadu. Zupy do wyboru: rosół z pasztecikami z francuskiego ciasta, nadzianymi mózgiem lub mięsem — z francuskimi kluskami lub zupa julienne z pulpetami, albo groszkciem ptysiowym, zupa rakowa, pomidorowa czysta z grzankami z parmezanem purée z kalafiorów z groszkiem ptysiowym — następnie ryba, jaka w danej porze jest na czasie, lub mięso: sztofada, polędwica wołowa z garniturem z jarzyn i makaronem włoskim, szynka na gorąco z całymi kartoflami i chrzanem, ozór peklowany i t.d. Jarzyny o ile są, w danej porze bardzo są wskazane — przegrada się niemi pierwsze danie od pieczystego, na które podaje się, stosownie do pory, drób lub zwierzynę z sałatami i kompotami, w końcu lody, kremy, galarety. Jeżeli obiad skromniejszy bez ryby i jarzyny, a tylko składać się będzie z przekąsek, zupy i jednego dania mięsnego, na które w takim razie można podać: pieczeń cielecą, baranią, schab pieczony, polędwicę wołową i t. p. — można podać le-

guminę gorącą, jak burdyń z sosem szodonowym, ptysie smażone z sokiem, omlet „souflée“, suflet z jabłek i t. d.

Na kolację podaje się dwa dania i leguminę, albo przekąski, jedno mięsne danie i leguminę. Na pierwsze można podać ryby w majonezie lub zapiekane po parysku, pasztet na gorąco we francuskim cieście lub jakąś mięsną potrawę. Na pieczone, czyli na drugie danie najodpowiedniejszy będzie drób, za wyjątkiem gęsi i kaczek, których nie podaje się wieczorem. Na leguminę wszelkie kremy, galarety, tort hiszpański, lody — albo przy skromniejszym menu owoce, ciastka etc.

Z ogromnej ilości potraw, jakie tu podałam, sądzę, że Pani wybierze, co Jej będzie dogadzało i ułoży sobie odpowiednie menu.

Pani Z D. w Ostrołęce.

Plamy z oliwy wywabia się benzyną, podkładając pod splamiony materiał ręcznik. Plamę trzecią kawałkiem waty — przesuwając za każdym nacieraniem na czyste miejsce na ręczniku.

Bieliznę pościelową ozdabia się mereżkami albo haftem angielskim — modne także bardzo są wszywane motywy siatkowe.

Dla tęszych osób dobrze wyglądają fasony, odcięte na biodrach, rozszerzające się kłozowo ku dołowi. Kilka takich fasonów podawaliśmy w ostatnich numerach „Bluszczu.“ Są one tem odpowiednie, że przy dzisiejszej modzie łączenia dwóch materiałów można, o ile trykotyny za mało, połączyć ją z fularem deseniowym.

Do salonu najwłaściwsze są story siatkowe, ręczne, lub tiulowe fabryczne, do sypialnego — etaminowe fabryczne w kolorowy deseń, lub markizetowe mereżkowane ręcznie, do stołowego pokoju — z szarego płótna, haftowane ręcznie w kolorowy deseń.

Kaktusy przesadza się skoro tylko życie zacząć, to jest w drugiej połowie marca — uważając, aby doniczki nie były zbyt duże, a ziemia odpowiednio dobrana.

Prenumeratorce z Nadnidzicy.

Noże z plam od octu lub kwasów po obmyciu w ciepłej wodzie czyści się czystolinem, (proszek do czyszczenia) na desce, obitej skórą.

Po oczyszczeniu owija się w bibułę, napszczoną oliwą i przechowuje w suchym miejscu — platerę czyści się kredą, rozrobioną z wodką na gęste ciasto. Posmarować tem ciastem przedmiot, przeznaczony do czyszczenia — poczekać, aż zupełnie wyschnie, następnie

wycierać flanelową ściereczką do połysku.

Jeżeli platery są cyzelowane, czyścić miękką szcoteczką, póki ślady kredy nie znikną.

Brodawki czyli kurzajki, skoro tylko spostrzeże się ich formowanie, lapiświacano i wieczór, jeśli większe—podwiązywać białym, mocnym kordonkiem ściskając coraz mocniej. Po paru dniach brodawka uschnie i odleci — miejsce po niej zalapisać, aby się nie odnowiła.

Jeśli te środki nie pomogły, trzeba udać się po radę do lekarza, lub do kalotechniki, gdzie wypalą brodawki elektrycznością.

Pani H. J. w Odrzywole.

Palmy wszystkie (nie wiem, jakie gatunki Pani hoduje), potrzebują dużo wody i w lecie i w zimie. Nie należy nigdy dopuścić do zupełnego wysuszenia ziemi, w najlepszym wypadku straci roślina dalsze liście — najczęściej jednakże umiera. Palmy potrzebują ziemi ciężkiej, gliniastej lub inspektowej, — starszych roślin nie należy przesadzać częściej jak co dwa, trzy lata. Liście trzeba często obmywać gąbką, wodą o temperaturze pokojowej, a rano i wieczór skrapiać je rozpylaczem.

Figus póki młody potrzebuje ziemi liściastej, następnie silniejszej. Skoro podrośnie, raz na tydzień trzeba podlewać go płynnym nawozem krowim. Trzy mać go przy oknie, aby miał dużo światła i starannie podlewać.

Asparagus potrzebuje ziemi posilnej, sadzić go należy w duże donicy. Od czasu do czasu podlewać płynnym nawozem krowim. Lubi wilgoć — podlewać go trzeba

starannie i skrapiać. Trzymać należy w oknie, najlepiej zachodniem, bo choć lubi światło, nie znosi ostrych promieni słonecznych.

Pani Z. K. z Płonki.

Na doskonałe kruche ciasteczka należy wziąć 400 gr. mąki w bardzo dobrym gatunku, 200 gr. masła świeżego, 2 żółtka, szczyptę soli i trzy czubate łyżki cukru — koniecznie pudru przesianego. — To wszystko zagnieść na stolnicy, wałkować i wykrawać ciasteczka — przed włożeniem do pieca posmarować je rozbitym jajkiem.

Przechowywać je trzeba w słoju szklanym, szczelnie zawiązanym, w suchym miejscu. Przekładać konfiturami tylko w miarę użycia.

Do prania w wodzie takiej, o jakiej Pani pisze, używać proszku mydlanego „Blask“ niezaprzeczałnej dobroci, mogącego nawet zastąpić mydło.

Trudno jest poradzić na odstające uszy skoro dziecko ma już pięć i pół lat. Te rzeczy pielęgnuje się w najmłodszym dzieciństwie. — Niech Pani spróbuje uszyć z płótna czepek, który by mocno uszki przyciskał i kładzie go dziecku na noc. Można też dostać specjalną przepaskę zrobioną z płótna i z gumy.

Przepis na babki podajemy w poradach gospodarskich.

Pani T. N.

Najmodniejsze są obecnie kostjumi z zakietami długimi — za kolana, które nawet do innej spódnicy mogą być noszone jak krótkie palto. Modne materiały o różnych fantastycznych nazwach są przeważnie miękkie, włochate i przerabia-

ne kilkoma barwami, ale przez to łatwo się opatrują i są mniej praktyczne. Kostjum radzę zrobić z sukna, które też jest bardzo noszone, a które odpowiednie będzie i na codzień i do ubrania.

Pani J. G. z Wilna.

Filodendron nie ma więcej liści jak 6 na raz. Skoro dojdzie do sześciu i wypuszcza siódmy — od dołu żółknie jeden. Obciąć go trzeba, jak uschnie. Filodendron, lubi dużo wody, nie powinien nigdy mieć sucho, trzymać go należy zimą i latem w pokoju, lub w lecie w zacienionym dobrze miejscu na dworze, nigdy na słońcu. Ziemia w którą go się sadi powinna być posilna inspektowa. Powietrznych korzeni nie obcina się nigdy. — Żyjątko — zapewne pchły ziemne, trudne do wyłapania, należy niszczyć skrapiając gałązki i ziemię odwarem tytoniu lub orzecha włoskiego, jeżeli to nie pomoże posypać ziemię popiołem lub kwiatem siarkowym.

O abażurach pomówimy w najbliższym numerze „Bluszczu“.

Redakcja „Bluszczu“ odpowiada stałym Czytelniczkom na wszelkie pytania, dotyczące życia domowego, gospodarstwa, mód, robót i t. d. Listy należy adresować do redakcji działu praktycznego, załączając znaczek pocztowy na odpowiedź i dokładny swój adres.

Na listy anonimowe, względnie bez adresu, Redakcja odpowiadać nie będzie.

Odpowiedzi są załatwiane kolejno, a wobec wielkiego napływu listów, nie zawsze mogą być umieszczone w najbliższym numerze „Bluszczu“

„NOWOŚCI ILUSTROWANE”

Najpoczytniejszy tygodnik ilustrowany, wychodzący od 1903 roku.

Zawiera około 100 zdjęć z Polski i całego świata. Przegląd polityczny i aktualny z tygodnia. Bogaty dział mód, teatrów polskich, sportu. Dział beletrystyczny zawiera dwie powieści oraz nowele. Dział rozrywkowy: humor, szachy, szarady, liczne premjowane konkursy etc.

Wszędzie do nabycia!

Wszędzie do nabycia!

Prenumerata kwartalna zł. 7.50. Numer pojedynczy zł. —.75. Do nabycia we wszystkich księgarniach, kioskach i na stacjach kolejowych.

Redakcja i Administracja: Kraków, ulica Kazimierza Wielkiego 1. 95. Telefon № 479.
Konto P. K. O. Kraków 400.519.

Opis sukien i robót do Nr. 14.

257. Koszulka z markizety blado-lila, objęta ciemniejszą plisą z crêpe de chine'u i przybrana kolorowym haftem.

258. Kombinacja z blado różowego crêpe de chine'u, przybrana gipiurową wstawką.

259. Kombinacja z białego opalu, przybrana mereżką i motywami filet.

260. Czepeczek z odpasowanej szerokiej koronki, przybrany aksamitką.

261. Szlafrok z fularu koloru brique z rękawami w formie skrzydeł. Rękawy mogą być zrobione z georgette w odpowiednim kolorze.

262. Koszulka i majtki z opalu, wykończone plisą z tiulu i walansjenką.

263. Kombinacja z plisowanego crêpe de chine'u i szerokiej wstawki filet.

264. Kombinacja z markizety, przybrana wstawką Boki plisowane.

265. Dwa czepeczki z organdy, wykończone kokardami ze wstążki.

266. Kapelusz z fantazyjnej mieniącej słomki. Na czubku główki kokarda z aksamitki.

267. Suknia z piaskowego sukienka, żakiecik z trochę ciemniejszego materiału, ottoman od dołu wykończony sukniem i przybrany haftem.

268. Suknia na ulicę z miękkiej, bronzowej wełny, odpowiednia dla starszej osoby.

269. Suknia z granatowego serge, przybrana sukniem ciemno popielatym i granatowym haftem.

270. Suknia z kreponu ciemno zielonego. Kołnierzyk i mankiety z białego sukna.

271. Wzór na kilim. Deseń można powtarzać dowolną ilość razy.

UWAGA: Powiększone wzory robót umieszczonych w Dodatku Mód można nabywać w Administracji „Bluszczu” po cenach następują-

cych: obrus — makata — ekran zł. 2.50; poduszka — serwetka zł. 1.50; drobne desenie gr. 75.

Przy zamawianiu trzeba wymienić wielkość (I, II, III lub IV) podług załączonej tabelki miar.

Korespondencję, dotyczącą mód i robót, należy kierować oddzielnie do Redakcji dodatku mód. Zamówień nie należy uskuteczniać na blankietach czekowych P. K. O

TABELKA przeciętnych miar

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. rękawów	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Kroje modeli umieszczonych w Dodatku Mód dostarczamy w ciągu trzech dni po cenach następujących: palto lub suknia fantazyjna . zł. 3.50
suknia zwyczajna „ 2.50
bluzka „ 2.00
formy dzieciinne „ 2.00
bielizna „ 1.50

Nadesłane do Redakcji

(Za dział ten Redakcja nie odpowiada)

PORADY KOSMETYCZNE

Zofji St. Radykalnie *Petunia* dr. Le. roux. Można smarować parę razy dziennie. Piegę znikną.

Muzykalnej. Łupież usunie ang. płyn *Bisore*. Głowę myć lepiej mydłem płynnym, jak *Pinol* Klimeckiego.

SK. ST. Jeden z lepszych kremów dla cery łuszczącej się to *Salome*. Smarować przed i po umyciu. Udelikatnia, zapobiega i wygładza zmarszczki. Zamiast mydła do mycia niech pani używa otrybki *Select*.

MAR. BK. Wągry dadzą się usunąć, myjąc twarz proszkiem alkalicznym *Sveno*. Czy wysłać? W takim razie adres dokładny należy przesłać do Redakcji.

Dr. Roemer.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Irenie L. Wodę zmiękczać proszkiem *La Mollette* i myć twarz najlepiej na noc w letniej wodzie *Otrybkami Abaridowemi*, które doskonale oczyszczają pory skóry i zapobiegają zblizaniu się tłuszczu. Jeżeli by okolice nosa pomimo to błyszczały, radzę rozpuścić jedną *Pastykę Alkaliczną* w pół szkl. wody i wycierać twarz kilka razy dziennie. Nietłusty puder będzie *Abaridowy*, który nie niszczy cery, a przeciwnie dodatnio wpływa na skórę.

Maryni. Zęby będą śnieżno białe, oile będzie je Pani myła proszkiem *Albol*. Do twarzy, aby się nie przyszczyła, radzę używać *krem Abaridowy* i myć twarz otrybkami *Abarid*. Już po paru dniach zobaczy Pani różnicę, twarz się wygładzi i przyszcze zginą.

Pani Zofji w S. Piegę wygubi Pani kremem *Precioza*. Nacierać *Preciozą* twarz na noc, a rano zmywać *Otrybkami Abaridowemi* i dobrze ciepłą wodą. O ile pęgi są uporczywe, to jednocześnie z *Preciozą* radzę stosować wybielający pyłek *Juvenia Candide*, którym twarz grubo przypudrować na noc.

Me. Ercedès.

Środki tu wymienione nabywać można we wszystkich drogerjach i perfumerjach. Skład główny: *Perfection*, Szpitalna 10, Warszawa.

OGŁOSZENIA przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU”, Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA”, Warszawa, Jasna 10, T.WO REKLAMY MIĘDZYNAR. S-ka z Ogr. Odp. **OGŁOSZENIA** Gen. Rep. RUDOLF MOSSE—Marszałkowska 124, BIURO OGŁOSZEŃ T. PIETRASZEK—Marszałkowska 115, „POWSZECHNE BIURO OGŁOSZEŃ” — Fredry 4, Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA” — Bielańska 4, Centralne Biuro Ogłoszeń L. i E. METZL i Sp. — Jasna 17, Biuro dzienników S. UNGRA—Senatorska 12

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA. Dział praktyczny oraz dodatek mód i robót pod redakcją MARJI PODHORSKIEJ—OJKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Krak. Przedm. 99. Tel. 239-40.



KOMUNIKAT

BIURA PRASOWEGO

DLA SPRAW KOBIECYCH



WARSZAWA

4 KWIETNIA 1925 r.

Warszawska żeńska chorągiew Z. H. P.

Na Zjeździe oddziału warszawskiego (wojew. Warsz.) Związku Harcerstwa Polskiego zdawała sprawę z działalności Chorągwi żeńskiej druhna Skokowska.

Sprawozdanie to podajemy niemal w całości:

Skład Komendy Chorągwi przedstawiał się jak następuje:

Komendantka — Skokowska, sekretarka — Lesińska-Chmielewska, skarbniczka — Niewiadomska, referentka Warszawy — Lublinerówna, prowincji — Wolkówna, sprawności — Lisowska, członkini Kom. Chor. Anna Chmielewska. Nadto zostały powołane: kierowniczką działu obozu: kolonji — Jiruńska, wychowania fizycznego — Lechowska, pracy społecznej Chojnacka.

Współpracownicy: dr. Rzczycka, komendantka kursu sanitarnego; Trentowska, zastępczyni skarbniczki. Druchny te powołane zostały w związku z utworzeniem nowych działów — wychowania fizycznego, pracy społecznej i opieki lekarskiej.

Skład liczebny chorągwi przedstawiał się jak następuje:

rok 1924	rok 1923
Środowisk 19	26
hufców 10	11
drużyn 64	82

Ilość drużyn dzieli się:

rok 1924.	rok 1923.
38 Warszawa — 26 prow.	
rok 1923.	
37 Warszawa — 45 prow.	

Pod względem rodzaju szkół:

rok 1924.	rok 1923.
26 gimnazj. 17 powsz.	
5 seminar.	
3 progimnazjum	
2 szk. zawodowe,	
5 burs,	

1 wiejskich,
5 mieszanych.

rok 1923.

37 gimnazjalnych,
23 powszechne,
3 preparandy,
4 progimn.
2 zawod.
1 wiejskich
7 mieszanych.

Wszystkich druchen razem:

rok 1924.

1131 Warsz. — 773 prow. 1904.

rok 1923.

1065 Warsz. — 1196 prow. 2261.

Uderza zmniejszenie się ilościowe harcerek w r. 1924. Referentka twierdzi, że zyskała na tem wartość i zwartość Chorągwi.

Pod względem stopni skład chorągwi przedstawiał się jak następuje:

	rok 1924.	rok 1923.
Harc mistrzyni	1.	1
Podharc mistrzyni	20.	17
Przodownic	15.	12
Harcerek I st.	3.	6
„ II „	193.	154
„ III „	668.	914
bez stopni	973.	1042
Wilcząt	67.	145

W r. 1924 została dokonana kwalifikacja drużyn na harcerskie i przygotowawcze. Z tego, jako harcerskie uznano 16 stołecznych drużyn i 10 prowincjonalnych, jako przygotowawcze 20 warsz. i 16 prow. Z tych 2 zostały zawieszony w ciągu roku.

Skład kierowniczek podług zawodów:

	rok 1924	rok 1923.
Studentek	18	29.
Nauczycielek	10	13.
Uczenic	18	24.

W r. 1924 zdobyto sprawności 581 — w 1923 — 620 w tem:

	rok 1924	rok 1923
gospodarczych	240	215
samarytańskich	97	113
rękodzielniczych	87	140

specj. harcerskich	47	40
sportowych	23	22
przyrodniczo-hodowlanych	18	20
intelektualnych	7	20
artystycznych	3	4

Kół przyjaciół było w r. 1924 — 22, w r. 1923 — 16, w tem 5 nieczynnych.

Akcja obozowa przedstawia się następująco:

rok 1924.

drużynowych i przyb. 1	
zastępowych	1
odpoczynkowy	1
normalnych	12

ogółem 15

prócz zlotu.

rok 1923.

instruktorsk.	1
zastęp.	3
kierowników oboz.	1
normalnych	10

ogółem 15

Z prac projektowanych na rok 1924 wykonano następujące:

1) spożytkowano wszystkie środowiska, 2) zorganizowano kursy dla drużyn. przyb. i zast, 3) skompletowano ruchome biblioteczki 4) zorganizowano wszystkie projektowane obozy, 5) zawody sportowe, 6) kursy sprawnościowe.

Nie wykonano: 1) kiermaszu przy wystawie zlotowej, z powodu braku sił, 2) nie odbyły się sprawności wiosłarskie, pływackie, konnej jazdy, z powodu braku środków technicznych. Ze spraw, nasuwających się w ciągu okresu sprawozdawczego wykonano następujące: Zreorganizowano hufce w ten sposób, aby w skład każdego hufca wchodziły drużyny z gimnazjów, szkół powszechnych i burs, aby hufcowe nie były przeciążone inną pracą w G. K. Z. lub Komendzie Chorągwi. Odbyły się programowe zebrania drużynowych w sprawie pracy letniej, konferencja drużynowych i przyb. z pokazem zbiorów, kurs sprawności telefonistek.

W Zlocie Narodowym wzięło udział 204 drużyny z Chorągwi. Było reprezentowanych 18 drużyn, 10 warsz. i 8 prowincjonalnych. Chorągiew warszawska, spełniająca rolę gospodarza na terenie zlotowym, założyła telefony dla całego obozu: zorganizowała warty, a przede wszystkim przygotowała teren, mimo trudnych warunków pracy. Ponieważ okazało się, że Zlot nie będzie miał żadnej gospody, przeto Drużyna 25-ta pod kierunkiem drużyny Szlachcińskiej zorganizowała gospodę na miejscu, dostarczając pomocy żywnościowej całemu obozowi.

Również w ostatniej chwili okazało się, że Zlot mieć nie będzie pomocy sanitarnej, więc Izba chorych Chorągwi warsz. starczyć musiała dla wszystkich drużyn zlotowych i drużyna VI drużyny Dydyńskiej, a w szczególności drużyna Stolcmanówna, która w dzień i w nocy niosła swą samarytańską służbę, dały dowody wielkiej wytrzymałości i pracy.

Reasumując to wszystko, referentka stwierdza zmniejszenie się liczbe Chorągwi. Stało się to kosztem prowincji. W stolicy natomiast przybyła 1 drużyna.—(Zawieszona została 3, przybyły 4 nowe). Na prowincji praca zawieszona została w Milanówku, Skierniewicach, Gostyninie, Sierpcu, Makowie, Rypinie, Płońsku, Małkini. Był to środowiska luźno związane z Chorągwią, a właściwie tylko przy niej zawieszona.

Ilość obozów wzrosła w tym roku, pomimo iż Zlot odciągnął dużo sił. Podjęto nawet po raz pierwszy próbę obozów zimowych. Pierwszy ten krok nie odstraszy zapewne uczestniczek od dalszych usiłowań w tym kierunku.

Materiał w Chorągwi jest bardzo dobry. Dziewczeta są zaradne, dzielne, fizycznie bardzo zdrowe i wytrzymałe.

Chorągiew odczuwa przede wszystkim: 1) brak lokalu, (Biuro jej mieści się „kątem“ w lokalu Białego Krzyża), a zatem niemożność udzielania go na zbiórki, konferencje i t. p. 2) brak własnej sali gimnastycznej i boiska. (Są drużyny, które gier i gimnastyki nie uprawiają wcale), 3) brak ogniska, koło którego skupiłoby się życie instruktorskie.

Co do planów na przyszłość: W zakresie organizacji i administracji projektowany jest podział drużyn prowincjonalnych na hufce, względnie terytorja, wzdłuż linii kolejowych, oraz inne ulepszenia administracyjne, stworzenie nowych działów: wychow. fizycznego, pra-

cy społecznej i opieki lekarskiej, prasowego i wydawnictw, dochodów niestałych.

Robotę propagandową zamierza Zarząd Chorągwi poprowadzić na wielką skalę, objąć wpływem harcerskim szkoły powszechne i jaknajszersze koła młodzieży gimnazjalnej.

Chorągiew warsz. współdziała z „Komitetem przysposobienia kobiet do obrony kraju“ przez tworzenie kursów sanitarnych, łączności, gospodarczych i t. p. i nadal współdziałać z nim zamierza, uważając, że harcerstwo poza innymi swymi zadaniami stanowić musi Pogotowie i Straż.

Sejm

—Dn. 10 marca w Komisji Ochrony Pracy posł. Praussowa, referowała rządowy projekt uzupełnienia odszkodowań osób, dotkniętych nieszczęśliwym przypadkiem przy pracy w b. dzielnicy rosyjskiej lub na wychodźstwie, w Rosji.

Na wniosek ref. Praussowej Komisja zgodziła się, aby przeprowadzone w zeszłym roku dwa czytania takiego samego projektu, opracowanego przez podkomisję, uznać za czytanie pierwsze i przystąpić od razu do dyskusji szczegółowej.

Referentka Praussowa stwierdziła, że skutkiem dewaluacji marki, renty, wypłacane w latach od 1919 do czerwca 1924 r., były tak nikłe, że bardzo wielu uprawnionych do pobierania tych rent wcale ich nie pobierało, bo koszt dojazdu do inspektora pracy, do sądu, po gotówkę na pocztę znacznie przewyższał całą rentę! Dlatego też Komisja Ochrony Pracy jeszcze w zeszłym roku opracowała projekt uzupełnienia owych rent.

Obecny projekt rządowy jest powtórzeniem projektu, opracowanego przez Komisję. Według art. 1, dodatki wyrównawcze mają pobierać: a) wszyscy ci, którzy na podstawie ustaw zaborczych uprawieni są do pobierania rent z powodu nieszczęśliwych wypadków w b. dzielnicy rosyjskiej; b) ci, którzy zostali poszkodowani w czasie wojny przez nieszczęśliwe wypadki przy pracy w przedsiębiorstwach, znajdujących się pod zarządem władz okupacyjnych i c) uchodźcy, zatrudnieni w przedsiębiorstwach ewakuowanych.

Projekt wywołał bardzo żywą dyskusję. Po końcowym słowie referentki uchwalono art. 1-szy w brzmieniu rządowym.

Korespondencje Biura Prasowego dla spraw kobiecych

Z WIELKOPOLSKI *List z Kórniką*
Kórnik jest maluchną miasteczką, posiadającą jednakże tradycję, co sprawia, iż mieszkańcy jego są dumni, iż pochodzą z Kórnik, a nie z jakiegoś tam Bnina, albo z innego, równie pośledniego grodu. (O kilometr oddalony, równie starożytny Bnin, jest bratem bliźniaczym Kórnik, ale bracia owi serdecznie się nie lubią). Niewygodna komunikacja kolejowa i inne braki są prawdopodobnie przyczyną, że życie w Kórniku płynie ospałym nurtem. Kiedyś za czasów Tytusa Działyńskiego było inaczej; przemysł i rzemiosło były w stanie kwitnąć, a biblioteka zamkowa ściągała uczonych badaczy przeszłości. Dziś przemysł i rzemiosło wegetują, a biblioteka od lat wielu spoczywa w zamknięciu, dostępna zaledwie dla niektórych szczęśliwych jednostek.

Dawniej, za czasów niewoli niemieckiej, kiedy łączyła ludzi wspólna walka w obronie zagrożonych placówek narodowych, życie w stowarzyszeniach było szybszym tętnem, obecnie, gdy tego bodźca nie stało, zapanowała senność i apatia. Wprawdzie rok rocznie odbywają się w Kórniku tradycyjne obchody bractwa strzeleckiego, istniejącego od XVII w., „król kurkowy“ defiluje przez miasto przy dźwiękach orkiestry na czele strzelców: widok ten przenosi nas w odległą epokę, zwłaszcza, gdy za tło służy starożytny kościół z grobowcami rycerzy z XVI w. oraz zamek z basztami i fosą, napełnioną wodą. Gdy w roku zeszłym Prezydent Rzeczypospolitej odwiedził Kórnik ofiarowano mu honorowe członkostwo w bractwie strzeleckim.

Kórnik przypomina ową zaczarowaną królewnę z bajki, która czeka na junaka, aby ją obudził.

W lecie wstępuje trochę życia w miasteczku. Liczne wycieczki każdej niedzieli przytwarzają pieszko, lub na umajonych wozach ze śpiewem i muzyką od samego rana. Młodzież szkolna żeńska i męska, harcerze i harcerki często przybywają pieszko prosto z Poznania, albo i z dalszych okolic, a po zwiedzeniu zamkowego muzeum oraz parku, rozspokują się po uroczaj okolicy, rozłożonej nad trzema jeziorami: Bnińskim, Kórnickim, Skrzyneckim, a także po lesie, który się przegłębia w owych jeziorach. W najpiękniejszym z nich, jeziorze

Skrzyneckiem, miała ongi żyć „wodna panna”. Dziś można w niem jeńo spłoszyć wydrę, ale nikt się nie zadziwi, że niegdyś „wodna panna” zechciała w niem mieszkać.

A teraz przejdźmy do stowarzyszeń kobiecych w Kórniku. Koło włościanek zaledwie daje słabe oznaki życia — zaś Koło kobiet katolickich znalazło się wraz ze swoim Zarządem głównym w Poznaniu, na owem rozdrożu, które tak dobrze charakteryzuje artykuł wstępny w 10 N-rze „Bluszczu”; życie je wypredza i musi ono, albo przestać istnieć, albo przystosować się do nowych form życia. Przewodnicząca d-rowsa Tłokowa, rozumiejąc dobrze nagłą potrzebę reformy, zamierza wciągnąć członkinie (w liczbie około 30-stu) do pracy realnej nad opuszczoną działwą.

Zostawszy niedawno przewodniczącą oddziału Tow. Czytelni Ludowych, świeżo zorganizowanego w Kórniku, d-rowsa Tłokowa energicznie zabrała się do pracy i nie tylko, że w krótkim czasie postarała się zaopatrzyć okoliczne szkoły wiejskie w biblioteczki, ale zorganizowała szereg odczytów, odbywających się co druga niedziela, poczem następuje przedstawienie jakiejś jednoaktówki w celu zachęcenia szerszych mas do przybycia na odczyt. Dotychczas odczytów takich przy zawsze pełnej sali odbyło się siedm; na następujące tematy: „O charakterze narodowym” (2 odczyty) „O rodzinie polskiej” „O adwentystach” „O pieniądzu i jego znaczeniu gospodarczym” (3 odczyty).

W Kórniku, jak w ogóle w całej Wielkopolsce, utwierdziło się przekonanie o bezwzględnej wyższości na każdym polu mężczyzny nad kobietą, a więc i na polu pracy oświatowej. A oto jak się przedstawia rzeczywistość.

Przez rok przeszło szkoła wieczorowa dla terminatorów w Kórniku nie funkcjonowała wcale, a to dlatego, że p kierownik szkoły powszechnej, oraz reszta nauczycieli, acz mężczyźni, rzekli się tego obowiązku, nie mogąc dać sobie rady ze zdziczałą młodzieżą powojenną, pomimo, że stosowali nieraz energiczne środki względem terminatorów, podobne tym, które stosują względem nich majstrówie, trzymający się zwyczajów patriarchalnych.

Od roku zeszłego kierowniczką tutejszej siedmioklasowej szkoły powszechnej została kobieta p. Stębnicka. Uruchomiła ona znowu szkołę wieczorną — i o dziwo chłopcy zamienili się w baranków. Zbytecznym stał się policjant, który dawniej asystował podczas

lekcji w szkole wieczornej. Oprócz kierowniczkę uczą jeszcze dwie nauczycielki, które dają sobie radę z chłopcami w wieku około lat 18, będącymi postrachem dla nauczycieli — mężczyzn.

Zdaje się, że komentarze są zbyteczne. A jednak Kórniczanie nadal jeszcze trwają w zapatrywaniu, że — mężczyzna to — ho, ho! — to nie to, co kobieta, bo, jak krzyknie, jak wyrżnie po łapie, zaraz inny ład!

No, i co począć z takimi ludźmi?

Udział kobiet w stowarzyszeniach mieszanych

— Na zastępczynię w Zarządzie Oddziału Polskiego Tow. Historycznego w Wilnie zaproszono p. Z. Domaniowską.

— Do zarządu, założonego dn. 1 marca Koła Polskiej Macierzy Szkolnej w Szczuczynie, wybraną została dr. Marja Mejer jako przewodnicząca.

— Do Zarządu wileńskiego oddziału Tow. psychiatrów polskich wybrano dr. J. Jankowską.

— Do Zarządu organizacji młodzieży monarchicznej w uniwersytecie wileńskim wybraną została Zofja Dowgiałło - Narbutówna.

— Na zebraniu członków Komitetu P. Cz. Krzyża w Sosnowcu wybrano do Zarządu panie doktorową Witkowską i doktorową Sarnecką.

— Przy Centralnem Tow. Rolniczym (Warszawa, Kopernika 30) powstał w jesieni ub. r. Wydział Kół gospodyń. Zarząd Wydziału urządza kilkodniowe kursy gotowania, pieczenia ciast i gospodarstwa domowego, połączone z pogadankami oświatowymi. Kursy te urządza się przy Kółkach Rolniczych, po cztery miesięcznie. W Biurze Wydziału udziela się porad gospodyniom, pośredniczy w zakupie jaj wylęgowych, nasion, apteczek domowych, oraz w udzielaniu posad.

Wydział prowadzi przy Gazecie Gospodarskiej dodatek dla kobiet, p. t. „Głos do kobiet”. Redaktorką „Głosu” jest p. Restorfova.

— Do Zarządu Domu Ludowego w Sosnowcu wybrano p. Siemińską.

Przegląd prasy

— „Wiadomości Literackie” № 11 drukują studjum literackie Marji Dąbrowskiej p. t. „Tregizm

Conrada” W tym samym numerze spotykamy ocenę książki Marji Juszkiewiczowej p. t. „Duch Wierzby” Autorka odtwarza ludowe legendy i baśnie japońskie. Ocena stawia wysoko wartość literacką „Ducha Wierzby”.

— „Polonia” paryska drukuje nowelę G. Zapolskiej „Pokusa” przełożoną na francuski przez Paul Cazin’a.

— W № 10-ym „Tygodnika Ilustrowanego” czytamy poezję I. K. Iłłakowiczówny z cyklu „Obrazy dwanaściorga imion, wróżebne” oraz artykuł p. Z. Guzowskiej o wystawie szkół zawodowych i przemysłu artystycznego w Zachęcie. —

— W № 10 „Kurjera Warszawskiego” art. malarka W. Szrajberówna zamieszcza dłuższy artykuł w sprawie zdobienia kościoła garnizonowego w Płocku.

— „Świat” w № 10-ym b. m. drukuje artykuł p. E. Sukertowej p. t. „Echo z Mazur pruskich”.

— „Słowo” radomskie w № 53 z dn. 6. III. zamieszcza artykuł Z. Prawdzic Skokowskiej p. t. „Groźny objaw”, nawołujący do walki z epidemją samobójstw wśród młodzieży.

— Poznański „Przegląd Poranny” № 62 drukuje Marji Jehanne Wielopolskiej fragment z pracy „Braterstwo Ludów”.

— „Myśl Niepodległa” № 752 zamieszcza Dr. Zofji Niemojewskiej-Gruszczyńskiej recenzję p. t. „Dwie książki prof. Kleinera”.

— Ostatni VI № wydawnictwa „Exlibris” zamieszcza pracę p. Zofji Ameisenowej p. t. „Inkanabunały graficzne Biblioteki Jagiellońskiej” Jest to dokładny opis kilkunastu najciekawszych rycin z XV w. z genezą powstania każdej z nich. Praca ta stanowi cenny dorobek naszej literatury graficznej.

— Prasa interesuje się stadjonem Koła Polek.

„Echo Warszawski” w № 48 kończy artykuł na temat powyższy słowami: „Polska wyciąga ramiona do słońca, do piękna, do zdrowia i siły”.

— Stadjon № 11 w; artykule p. t. „W sprawie zbędnej federacji” walczy z ideą sfederowania kobiecych organizacji sportowych.

— „Iskry” w N-rze 11 drukują Heleny Duninówny „Jak powstał Teatr Narodowy”.

— „Harcerz” № 5 drukuje Kingi Jastrzębskiej „Znaczenie i rozwój lotnictwa”.

— Wileńskie „Słowo” № 60 drukuje W. Niedziałkowskiej D-c-

baczewskiej „Strach“ (wspomnienia z niemieckiego obozu jeńców).

— „Przyjaciel Szkoły“ № 5 zamieszcza K. Berkanówny „Idea Misyjna w wychowaniu szkolnym“.

Kursy, odczyty, wykłady

— W Seminarjum nauczycielskim p. Wołowskiej, przy ul. Pięknej w Warszawie odbył się dn. 15 marca odczyt. M. Cz. Przewóskiej na temat „Zadania kobiety w świetle obowiązków jej względem odrodzonej Polski“.

Po krótkim, retrospektywnym rzucie oka na rozwój kultury, do której kobieta wносиła wszędzie ducha wysokiej, łagodzącej obyczaje, sprawiedliwości, prelegentka przeszła do zadań współczesnej polki.

Nie powinna ona — mówiła p. Przewóska — naśladować niewolniczo mężczyzny i upodobniać się do niego, lecz raczej wnosić do pracy społecznej odrębne, a jednak nie mniej cenne walory swej indywidualności. Poruszywszy następnie odwieczną, wciąż ropiejącą ranę reglamentacji i handlu żywym towarem, jako jedną z największych krzywd kobiecych, wypowiedziała przekonanie, iż smutne zjawiska te znikną dopiero wówczas z powierzchni ziemi, gdy kobieta wystąpi jako siła czynna, przy reformie prawodawstwa. W końcu rzuciła prelegentka myśl otwarcia specjalnej szkoły obywatelskości, dostępnej dla wszystkich kobiet, w której znalazłyby one podstawę dla swej społecznej i politycznej działalności.

Z dyskusji wyłoniły się projekty założenia liceów państwowych dla mniej zdolnych dziewcząt, o programie nauk pięciu lub sześcioklasowym, z kursami dodatkowymi, w których uczennice otrzymywałyby praktyczne przygotowanie do rodzinnego i zawodowego życia. A L

— Dn. 14 b. m. w sali Col. Minus uniwersytetu poznańskiego Dr. Dobrzyńska-Rybicka wygłosiła odczyt z dziedziny filozofii p. t. „Spiritualizm a myśl współczesna“.

— Dn. 19 b. m. p. J. Turska asystentka uniwersytetu Lwowskiego wygłosiła we Lwowie odczyt dyskusyjny „O spółdzielczości“.

— Nar. Org. Kobiet w Radomiu zorganizowało kursy stenografji, cieszące się wielkim powodzeniem. W zeszłym tygodniu, również stara-

niem tej instytucji, powstały kursy języka francuskiego.

— Dn. 17 marca w siedzibie Związku rzemieślników chrześcijan p. Lucyna Kotarbińska wygłosiła odczyt o pracach p. Skłodowskiej-Curie.

— W d. 22 — 31 marca wygłoszony został w Bydgoszczy cykl wykładów „O małżeństwach“ dla mężatek i panien. P. Zofja Rzepecka z Poznania dn. 22. III. mówiła na temat „Do czego obowiązuje ślubowanie małżeńskie“ p. dr. Zielińska z Bydgoszczy w dn. 24. III. o „Hygienie w życiu kobiety“.

Wiadomości Zagraniczne

WŁOCHY. Projekt ustawy o nadaniu kobietom praw politycznych. W dn. 12 marca parlament włoski miał rozpatrywać projekt ustawy o nadaniu kobietom praw politycznych. W komisji parlamentu projekt ten nie uzyskał większości głosów. Premier Mussolini zażądał odroczenia obrad nad tą ustawą do chwili swego powrotu do zdrowia. Stanowisko jego w tej sprawie wpłynie prawdopodobnie decydująco na losy projektu. Włoskie organizacje kobiece prowadzą ożywioną propagandę w kierunku uświadomienia ogółu o konieczności tej reformy.

STANY ZJEDNOCZONE. Szkoła dla policjantek. W Nowym Jorku otwarte zostały przy Szkole Pracy społecznej specjalne kursy dla zawodowego kształcenia policjantek. Kursy te prowadzone są wspólnie z Departamentem Policji i obejmują całość wykształcenia zarówno teoretycznego, jak i praktycznego, potrzebnego dla należytego pełnienia obowiązków służby policyjnej.

ANGLJA. Równe płace dla urzędniczek państwowych. Posłanka Wilkinson na sesji Izby Gmin podniosła kwestję równych płac dla urzędniczek państwowych. Interpelowany w tej sprawie min. Anirchill, wyjaśnił, że skarb państwa nie może na razie ponieść tak wielkich wydatków.

Jak walczą kobiety australijskie z alkoholizmem? Pismo kobiece „The Dawn“, (Jutrzenka) wychodzące w Australji zachodniej, prowadzi walkę z alkoholizmem drogą ogłaszania listy nazwisk posłów, którzy nie chcieli głosować za ustawą prohibicyjną. Lista ta po-

przedzona jest następującem wezwaniem: „Zapamiętajmy sobie dobrze te nazwiska, aby przy następnych wyborach nie głosować za tymi, dla których jeden głos handlarza napojami wyskokowymi jest ważniejszym, niż dwa głosy matek, wychowujących przyszłych obywateli państwa“.

JAPONJA. Ruch kobiecy się rozwija. Czytamy w „Equal Right“ wiadomość, że w Japonji wychodzi 40 pism kobiecych, z których jedno, tygodniowe ma przeszło milion czytelniczek, zaś drugie — miesięcznik — około dwustu tysięcy.

INDJE. Muzułmanie żądają nauki dla kobiet. Mieszkańcy Madrasu wznania mahometańskiego wystąpili z protestem przeciwko ustawie rządowej, wykluczającej dziewczęta muzułmańskie od powszechnego przymusu szkolnego. Protest ten, zorganizowany przez przywódczynię ruchu kobiecego w Indjach, ma na celu wykazanie rządowi, że społeczeństwo muzułmańskie w Indjach należycie uświadomiło już sobie konieczność przyznania kobietom takich samych praw do wykształcenia naukowego, jakie mają mężczyźni.

EGIPT. Pismo kobiece. Francusko-Egipskie stowarzyszenie kobiece przystępuje do wydawania pisma dla kobiet, które będzie drukowane jednocześnie w języku arabskim i francuskim.

KUBA. Pierwsza szkoła zawodowa dla kobiet. El Sufragista pismo kobiece, wychodzące na Kubie, donosi o powstaniu pierwszej szkoły handlowej, przeznaczonej dla kobiet.

Różne

— Pani Curie Skłodowska przybędzie do Warszawy w maju na uroczystość położenia kamienia węgielnego pod Instytut Radowy jej imienia. Wielka uczona przybędzie w charakterze delegatki rządu francuskiego i weźmie również udział w otwarciu Instytutu francuskiego, który mieścić się będzie w pałacu Staszyca. Na uroczystości tej wygłosi odczyt w imieniu uczonych francuskich.

— Dowiadujemy się że dr. Zofja Szymttowa - Gąsiorowska, której studjum o przekładach Norwida z Horacego, drukował niedawno „Pamiętnik Literacki“, pracuje obecnie nad przekładami z Homera, zbierając materiały do większego dzieła.